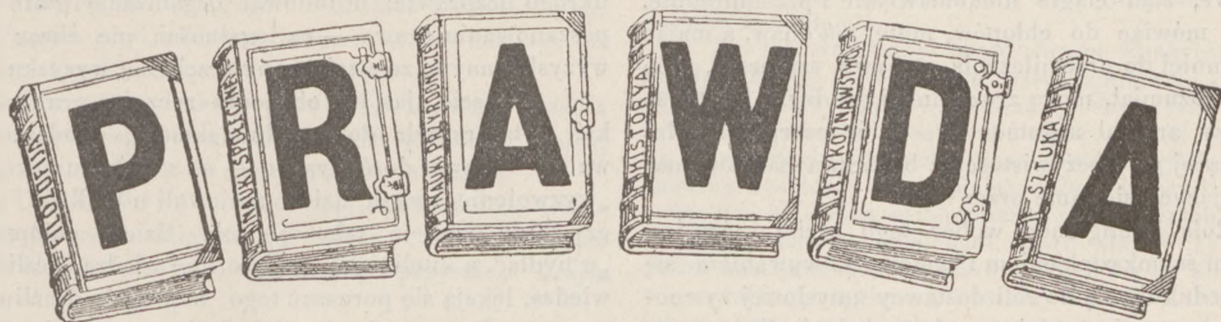
Nr 38 (1548). Warszawa, 17 września 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sami sobie.

Szeroki fundament naszego gmachu społecznego stanowi czarna masa chłopska. Nazywam ją „czarną”, gdyż panuje wśród niej dużo jeszcze czarnych mroków, gdyż jest ogorzałą od słońca, zczerniałą od znojnej pracy na czarnej roli. Jest także dotąd jeszcze *masą*, niezorganizowaną, nieświadomą, bierną, materjałem do eksperymentów i eksploatacji dla tych, co zręcznie zapuszczając w nią świdry, umieją z jej — często czarnej — nędzy, dobywać świecące i brzęczące złoto.

Jednakże dziś już budzi się w niej życie świadome, samodzielne, do wyzwolenia dążące, przeobrażające *masę* w *gromadę*, gromadę w zorganizowaną *klasę*.

Proces ten zwolna przygotowywały ekonomiczne, społeczne i polityczne warunki, a podniesiona temperatura lat wolnościowych przyspieszyła go — choć pozornie pęd rewolucyjny tę masę ominął, nie wywołując w niej silniejszego falowania.

Na ogół lud wiejski nie jest materjałem tak podatnym do doraźnej agitacji, jak, naprzykład, robotnik fabryczny. Nie można go lada hasłem wodzić od partji do partji, od jednej do drugiej politycznej kapliczki.

Zanim jakąś prawdę uzna, musi ją w sobie przerobić, zżyć się z nią, do siebie przystosować i przetłumaczyć na język konkretnych, blisko sobie znanych faktów. Natomiast przedstawia znakomity materjał wychowawczy, choć skandalicznie zaniedbany, lub co gorsza, złym wychowaniem otumaniony i obezwładniony.

Dziś zaczyna zdawać sobie sprawę nietylko ze swego zaniedbania, lecz i z błędów wychowawczego systemu, a stąd rodzi się w nim nieufność do dotychczasowych wychowawców i popęd do samokształcenia. Hasło „sami sobie” zdobywa wśród niego coraz szerszą popularność.

Nie jest to hasło demagogiczne. „Sami sobie” nie oznacza wcale, by lud przyznawał sobie wyższość ponad innymi warstwami społeczeństwa; przeciwnie, im jaśniej robi mu się w oczach, tym czarniejszą wydaje mu się jego własna ciemnota i barbarzyństwo. Cytowany w zeszłym numerze *Prawdy* znamienny artykuł Marji Biniekówny świadczy, że zaczyna się on już poznawać na farbowanych lisach demagogji i pochlebstwami gardzi, gdyż pochlebców nie bez racji o interesowność posądza. „Bez zaciekłości, ale i bez strachu niech nam choćby najstraszniejszą prawdę mówią” — pisze.

Pożądanie prawdy, całej prawdy, tej samej, którą się karmią umysły oświecone, a nie specjalnie dla „młodszej braci” przyprawionej, niby jakiejś „czeladnej” lub „drugostolnej” strawy umysłowej — łakną budzące się do życia mózgi chłopskie i to jest obok hasła „sami sobie” jednym z najżywotniejszych czynników chłopskiego odrodzenia.

Oba hasła łączą się z sobą. Może nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak dalece w nałóg weszło nam inteligientom pewnego rodzaju teatralne kostjumowanie się i charakteryzowanie, gdy wchodzimy między lud. Czasem grają tu rolę bardzo szlachetne, czasem mniej szlachetne pobudki, niekiedy poprostu jakaś odruchowa, nieświadoma sztuczność, wynikająca z sytuacji, lecz nieomal zawsze w tym, co nazywamy zniżaniem się do skali umysłów, przystosowaniem, popularyzowa-

niem, jest jakaś odrobina fałszu. Jednych rzeczy się nie mówi, żeby sobie słuchaczy czy czytelników nie zrażać, innych — bo ich nie zrozumieją lub zrozumieją źle, inne wreszcie są przedwczesne, niebezpieczne, drażliwe, stąd ciągłe niedomawianie i przemilczanie. Chłop, mówiąc do chłopów, mniej ma obaw, a mając także mniej do przemilczenia — bywa szczerszy. Co jeden zrozumiał, mogą zrozumieć i drudzy. Ma także bogatszy arsenał argumentów, bo je czerpie z pełni otaczającej go rzeczywistości, z bogactwa faktów, nastręczających się same przez się.

Rola inteligiencji wobec tego ruchu, który jest zarazem samokształceniem i samowychowywaniem się ludu, redukuje się do roli dostawcy umysłowej żywności — stwarzania źródeł prawdy — jednej dla wszystkich — i obalania wszystkich rogatek, które do niej ludowi drogę zamykają. Przystosowania specjalne z uwzględnianiem okoliczności i bezpośredniej użyteczności muszą być dziełem samych chłopów. Dajcie im możność poznać odmienne stosunki, wyższą kulturę chłopską, lepsze gospodarstwa, dobrodziejstwa oświaty, wychowania, organizacji, zbiorowych wysiłków — a każdy, rozejrzawszy się w swej wiosce i gminie, sam wynajdzie sobie coś najpilniejszego i najważniejszego do roboty.

Chłop bowiem ma tę zaletę — i może tę jedyną nad naszym inteligientem wyższość, że nie lubi prawd *martwych*, reform i programów akademickich, składanych do archiwum i czekających lepszych czasów. On lubi hasła przyoblekać w ciało, a użyteczność i wykonalność jest dla niego probierzem ich wartości.

To też *program* i *kierunek* tak zwanego ruchu ludowego tylko nam, przywykłym do formułowania myśli w zaokrąglonych zdaniach, może się wydawać mglistym.

Weźmy do ręki jakikolwiek numer *Zarania* i zwróćmy uwagę na korespondencje chłopskie. Ile tam zdrowej inicjatywy, a zawsze sprowadzającej się do bezpośredniego oddziaływania na życie takie, jakim jest dziś, w jego codziennych a typowych objawach!

Na tle wsi polskiej rysują się różne *kwestje*, zagadnienia do rozwiązania, o których my bardzo niewiele wiemy, a jeśli myślemy o nich, to w sposób ogólnikowy i abstrakcyjny.

Omawiano tam więc stosunek nauczyciela ludowego do gminy, księdza do parafji, potym pisarza gminnego, jego obowiązki, jego położenie materjalne i jego nadużycia. I o dziwo! w dyskusji brali udział i chłopi i pisarze gminni, — dwie strony przeciwne, a nie było łajania, wymyślania, docinków ani kalumnji — mimo niskiej kultury stron obu. Wyjaśniono wiele rzeczy, zapoczątkowano nawet realne reformy. W gminie Grudusk pod Mławą — naprzykład — gminiacy z własnej inicjatywy podnieśli pensję pisarza ze 180 rb. na 480 rb., zastrzegając, że „wszelkie łapówki i wyciąganie grosza za drobne czynności musi ustać". Skutkiem tego, „gmina, lud ma w nim przyjaciela: możliwie usuwa od niej wszelkie przykrości i nadużycia skądkolwiek pochodzą".

To drobnostka może? Nie, nieprawda, lud w Grudusku uczynił rzecz olbrzymiej wagi, złożył znakomity egzamin dojrzałości obywatelskiej; zapoczątkował reformę, z której kiedyś wyższe klasy społeczne będą musiały brać przykład, gdy dojrzeją do misji oczyszczania augjaszowej stajenki życia publicznego. Lud ukrócił bezprawie; ufundował organizację gminy na poszanowaniu prawa — na legalności; nie chcąc być wyzyskiwanym, ze swej strony zrzekł się wyzysku.

A wiecie, jak lud obchodzi rocznicę grunwaldzką? Oto przesyła dobrowolne składki, opodatkowywa się — nawet dość wysoko — na szkoły ludowe, na „wyzwolenie swych dzieci z niewoli u bydła". Rzeczywiście istnieje taka niewola dzieci chłopskich „u bydła", a inteligienci mało o niej wiedzą, jeśli zaś wiedzą, lękają się poruszać tego naprawdę drażliwego tematu. Jest przecież łatwiej obwieszczać ludowi hasła walki z wyzyskiem i niewolą tam, gdzie on jest ofiarą, niż tam, gdzie sam jest wyzyskiwaczem i ciemięzcą.

Bo i najbiedniejszy chłop ma jeszcze niewolnika, którego gnębić i którego pracą dorabiać się może; — jest to jego dziecko. To jego bezpłatny robotnik; dziecko, którego się nie kształci, nie kosztuje, a gdy od maleństwa pracuje, przynosi dochody. Jak tu powiedzieć chłopu, że ze swej biedy musi w imię sprawiedliwości, której się dla siebie domaga, składać ofiary na rzecz praw dziecka!

Powiedział to chłopom chłop, a inni go poparli. Brat „Cianciara" stał się stąd osobistością popularną wśród czytelników *Zarania*, rozgrzał serca, rozwiązał usta, a kieszenie same się otwarły.

„I czymże się dzieje, że ludzie nie biorą się na sposoby, że wskazania nauki nie mogą trafić do umysłu naszego i przekonania nas. Czym się dzieje, że słyszymy, a nie rozumiemy, patrzymy a nie widzimy, mamy w sobie siły wielkie, a nie działamy?

„Czy nie winno temu wszystkiemu i złe wychowanie dzieci wiejskich, tych w następstwie marnych gospodarzy? Czy przyczyną złego nie owa niewola u bydła dzieci wiejskich?

„A cóż nas w przyszłości czeka wobec tego, że dziś wszystkie ludy uczą swe dzieci i one już, jako oświecone, w świat wstępują? Czyż w walce o byt nie rozdepczą nas owe ludy — Niemcy czy inne?"

„Doprawdy jest to rzecz ważna i warta zastanowienia się".

„Braciom od pługa życzę namyśleć się nad tą sprawą".

To pisze „brat rolnik Wacław Pieślak", a prócz Pieślaka jest jeszcze i Fuszara i Michalik i wielu — wielu innych.

To jest naprawdę rzecz ważna i zastanowienia godna:

Wszelka reforma — jeśli nie zaczyna się od reformy wychowawczej, a co najmniej na niej się nie opiera — wisi w powietrzu i to na bardzo wątłej pajęczynie. Chłopi, którzy tę prawdę przeniknęli, którzy wyzwolą swych niewolników, aby z nich sobie ukształcić następców i spadkobierców ideowych, dokonają historycznego dzieła. Oparli oni dźwignię ruchu ludowego na mocnym fundamencie.

Ci wyklinani *Zaraniarze* są jeszcze nieliczną garstką, ale zwolna staną się oni „solą ziemi", bo obra-

i najskuteczniejszy środek propagandy: nauczają czynem.

I na nich to spadają prześladowania, przekleństwa, oszczerstwa i gorsze od tego wszystkiego—pożądliwe spojrzenia demagogów świeckich i duchownych, usiłujących prąd, którego zatamować nie można, na własne młynki polityczne skierować.

Temu to ludowi prawi się banalne kazania o zgubnym posiewie nienawiści — a potrzebie zgody, o ohydzie *burzenia* — obowiązku *budowania*!!

Uspokójcie się — zacni przyjaciele ludu,—Cianciary, Fuszary, Michaliki, Pieślaki — budują, bardzo wiele budują: szosy i drogi, szkoły i przyszłość kraju.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Jak zwykle o tej porze rozkwita bujnie sezon kongresów, zjazdów, konferencji wszelkiego rodzaju. Po zjeździe wolnych myślicieli, zaprzątnął uwagę ogółu międzynarodowy zjazd socjalistów. Po Brukselli—Kopenhaga. W stolicy duńskiej wyszły na jaw polityczne i narodowościowe zatargi, nurtujące wielką międzynarodówkę. Ciekawe to zjawisko: formacja zupełnie nowa, socjalizm, który szczyci się, rad, że nie ma nic wspólnego z psychiką „burżuazyjnych" zrzeszeń, zdradza oto wyraźnie zachowawczą rutynę w traktowaniu spraw narodowościowych, dając się w tej dziedzinie zdystansować umiarkowanym nawet radykałom.

Sprawa autonomii związków i zrzeszeń narodowych, wniesiona przed forum socjalistów w tym roku, dzięki wytrwałym zabiegom Czechów — od wielu lat nie schodzi z porządku dziennego wszystkich niemal międzynarodowych towarzystw, jakoto kryminalistów, prawników, przyrodników, psychologów, lekarzy, że poprzestaniemy na ważniejszych. Uznanie, np., *autonomicznej sekcji polskiej* spotyka się tu i owdzie z oporem niemieckich głównie państwowców, podczas gdy francuzi i anglicy chętny niosą nam sukurs. Nie ulega wszakże wątpliwości, że prawo *przedstawicielstwa* na tym polu prędzej czy później będzie przyznane — i to właśnie przez „burżuazyjny" świat zachodniej Europy, gdy *świat socjalistyczny* trwa nadal w nieprzyjaznej rutynie.

Skrajny i źle pojęty dogmat internacjonalizmu na tle istniejących dzisiaj granic państwowych nie pozwala socjalistom zdobyć się na ten bodaj poziom szczerego humanitaryzmu, na jaki dawno zdobyli się już „burżuazyjni" radykaliści i wolni myśliciele. Ci ostatni nietylko uznają samodzielność czeskiej organizacji Wolnej Myśli, ale nadto wyróżnili ją pochlebnie, obierając Pragę za miejsce swych obrad w r. 1908. Inaczej socjaliści. Pod płaszczem ideologji przewrotowej kryją oni często usposobienie niezłomnych państwowców, krzywym patrząc okiem na przebieg różnicowań narodowych i plemiennych, na owo radosne i krzepiące zjawisko budzenia się ducha samoświadomości i energji zbiorowej nawet w zapadłych kątach, pośród lekceważonych kopciuszków i zapomnianych parjasów Europy, wiekami podległych i pomiatanych, a dziś dumnie podźwigających głowy, aby stanąć w szeregach wolnej ludzkości. Prąd emancypacji narodowej odczuć powinien sympatycznie każdy szczery demokrata, a cóż dopiero Polak-demokrata, a cóż dopiero socjalista — Polak...

Dzieje się jednak inaczej. Socjalizm typu niemieckiego jest po dziś dzień, niestety, miarodajny, a na domiar złego, na ziemiach polskich cieszy się niepojętym uznaniem. Z natury rzeczy jest on nam obcy i wrogi. Wychowany w szkole tryumfującej zasady państwowości, zapatrzony we wzory pruskiego centralizmu, choćby się nie wiem jak tego wypierał, pewnym jest, że kult silnej władzy i silnej centrali państwowej piastuje w głębi duszy. Podobno Lassale był Bismarkowi duchem pokrewny; a iluż jest dziś małych epigonów Lassala!...

To też wniesiony przed forum kongresu spór między Pragą i Wiedniem rozstrzygnięto na korzyść Wiednia olbrzymią większością głosów, wśród których nie brakło *głosów polskich*... Spór powstał na tle austrjackiego ruchu zawodowego, gdzie Czesi znaczny ilościowo biorą udział, dążąc do wydzielenia związków w osobną autonomiczną grupę, czemu znów dr. Adler, matador wiedeński, stawił stanowczy opór. Wódz austrjackich socjalistów zwrócił się do kongresu o „moralne potępienie" czeskiej herezji p. Nemec'a, jak w swoim czasie biskupi germańscy zwracali się do papieża o potępienie czeskiej herezji Jana Hussa... I tu i tam skutek był narazie jednakowy, ale pomnić należy, że spalenie Hussa nie ocaliło Rzymu przed zwycięskim pochodem Reformacji.

Zresztą dogmat socjalistyczny pozorną w tym wszystkim odgrywa rolę, zaś ci, którzy najgorliwiej szermują kanonem *prawowierności*, najmniej zdają się o nią troszczyć. Adlerowi nie w smak poszła emancypacja Czechów głównie dlatego, że ten zdolny polityk pragnie rozporządzać całą rozległą szachownicą wpływów, po której mógłby dowolnie szyki swoje rozsnuwać. Z drugiej strony socjaliści czescy, wcale nie gorsi od wiedeńskich, chcą być czynnikiem narodowym u siebie w kraju, chcą zyskać mir i posłuch w społeczeństwie, czego żadną miarą mieć nie mogą pod niepopularną egidą niemiecką.

Kongres potępił te zamiary, ale ich nie stłumił. Najbardziej nawet przekonany socjalista — państwowiec nie może łudzić się na chwilę, by zażegnano śmieszną klątwą indywidualizm narodowościowy, który nurtuje coraz potężniej rozległą międzynarodówkę i prędzej czy później wyprze z niej niefortunną i szkodliwą rutynę Jest ona niefortunną i szkodliwą dlatego, że upośledza czynnik narodowy na korzyść państwowego, a nawet *partyjnego* czynnika. Oto prawowierni marksiści, nie mając dość słów potępienia dla zasady neutralności związków zawodowych, pakują je gwałtem w kadry partyjne, a bronią im zarazem wyodrębniać się według różnic narodowych! Trudno o większe zaślepienie. Tylko nieuleczalne maniactwo w połączeniu z brakiem zmysłu politycznego może stawiać autorytet partji wyżej od narodu.

Polska sekcja, jak wiemy, głosowała na rzecz wiedeńskiej centrali. Nie poraz pierwszy socjaliści dają nam obraz tak smutnej dezinwoltury. Nadęci i krzykliwi, mając się za jedyny wśród ogółu pierwiastek *prometejski*, z góry polityków „burżuazyjnych" traktując, jako ludzi małodusznych i tchórzliwych, sami, gdy przyjdzie do dzieła, niosą pokornie baldachim nad stołecznym wiedeńskim mandarynem, nie gorzej wcale od stańczyków ubiegłej doby, do których są zresztą bliźniaczo podobni ze względu na wspólne pojmowanie państwowej racji stanu.

Obok spraw narodowych, pewną rolę na kongresach odgrywa stale kwestja *stosunku socjalizmu do kooperacji*. Odkładając gruntowne omówienie tej kwestji do następnego numeru, na razie poprzestać musimy na stwierdzeniu, że na tym polu rutyna zachowawcza poniosła klęskę w starciu z rewizjonizmem, przyprzychylnym dla idei współdzielczej. Rewizjonista Knussen, duńczyk, poseł z Kopenhagi, w płomiennej przemowie, gorąco oklaskiwanej przez Francuzów i Anglików, rzucił hasło Benoît Malon'a: *Bądźmy reformistami zawsze, a rewolucjonistami stosownie do warunków.*. „I niech nas nie przeraża wyraz *oportunizm* — ciągnął Kussen — Oportunizm nie jest umiarkowaniem; jest to sposób użytkowania wszystkich sił. Reformy prędzej uczynią przewrót, niż rewolucyjna

frazeologja. Sławetne „prawo żelazne" nie istnieje: nieprawdą jest, by w społeczeństwie burżuazyjnym robotnik był skazany na zstępowanie po szczeblach społecznych ku dołowi. Gdyby tak było, nigdyby nie wybiła godzina wyzwolenia, bo nawet, jeśli szczęśliwym trafem, konwulsyjnym wysiłkiem klasa robocza zagarnęłaby władzę w swe ręce — byłaby niezdolną utrzymać ją 24 godzin Socjalizm nie jest fatalizmem! Marx nie był derwiszem!

Pracujmy raczej nad polepszeniem warunków życia, nad zdobyciem pełnych swobód politycznych, nad budową organizacji związków zawodowych. Im więcej na tym polu zyskamy, tym łatwiej nam będzie zdobywać dalsze placówki".

Następny zjazd wyznaczono we *Wiedniu*, w roku przyszłym.

Hakatyzm chełmski.

Mistrz krzyżacki niezdolnych ma uczniów, o czym wymownie świadczy najświeższa faza sprawy chełmskiej. Pomimo, że nacjonaliści rosyjscy przestudjowali bardzo starannie dzieje kolonizacji niemieckiej, jej urządzenia i systemy na kresach wschodnich, nie potrafili jednak tych wzorów i wskazówek przyswoić i w czyn wprowadzić na „kresach zachodnich". Błędy wystąpiły tak szybko, że cała sprawa już jest zdyskredytowana, zwłaszcza po wizycie hr. Bobryńskiego i innych „wybrańców narodu" w Chełmszczyźnie. Chodziło przedewszystkim o zjednanie Rusinów, a tymczasem ci najprędzej się poznali na farbowanych lisach. Prasa rusińska, która zrazu traktowała projekt wyodrębnienia przychylnie i nawet dość gorąco przemawiała za nim, obecnie, po przemowach Bobryńskiego w Hrubieszowie i po szeregu wystąpień innych, pokrewnych mu, działaczy, — zrozumiała wybornie całą ideję „wyodrębnienia" i teraz już występuje przeciwko niej. Oto co mówi organ Rusinów, *Rada* kijowska: „Niedawno członkowie prawicy Dumy objeżdżali z wielkim hałasem Chełmszczyznę. Były bankiety, były narady, ale nie było prawdy. Nikt nie powiedział prawdy w oczy, że przez przyłączenie nas do „kraju południowo-zachodniego" kraj nasz nie będzie uwolniony od spolszczenia, o ile nam nie dadzą szkoły ukraińskiej, o ile dzieci nasze i cała ludność tutejsza nie przestaną widzieć na każdym kroku lekceważenia ich języka ojczystego, a przedewszystkim szkoły. Zakaz języka ojczystego nietylko poniża nas, ale pcha nas w objęcia Polaków. Wszystko jedno, czy zależeć będziemy od Warszawy, czy od Kijowa, bo za jakieś lat 20 — 30 przy systemie dzisiejszym Chełmszczyzna stanie się Polską i tylko cerkwie świadczyć będą o tym, że tu „kimś" kiedyś była. Wyłączenie Chełmszczyzny nie da nam żadnej korzyści i szkodę jedynie przyniesie".

Pomijamy ciasny, nacjonalistyczny pogląd organu rusińskiego na „niebezpieczeństwo polskie". Nie chodzi nam o to, lecz o zaznaczenie tej nieufności i wrogiego stanowiska względem „wyodrębnienia". Co do ogólnego charakteru polityki chełmskiej, o wiele są ciekawsze i szersze poglądy *Kijewskiej Myśli*, wywołane właśnie niefortunnym naśladownictwem hakatyzmu pruskiego. Jak wiadomo, grupa duchowieństwa prawosławnego złożyła bractwu chełmskiemu projekt stworzenia funduszu w wysokości dwu miljonów rubli, celem wykupu w Chełmszczyźnie posiadłości polskich i rozkolonizowania ich pomiędzy włościan, sprowadzonych z Rosji rdzennej; a więc nawet nie z pośród Rusinów, z którymi już się nie robi wcale ceremonji!

„Taki jest pierwszy oddźwięk letniej podróży po Chełmszczyźnie komiwojażerów nacjonalizmu, którzy przed terminem porzucili krzesła poselskie i puścili się na dość ryzykowną awanturę demagogiczną agitacji socjalistycznej śród włościan chełmskich—pisze *Kijewskaja Myśl* z tego powodu. — Czy można było słuchać bez śmiechu agrarjusza rosyjskiego, który płomienną wymową wprawnego agitatora wyjaśniał włościanom, jak jest opłakane ich położenie pod uciskiem agrarjusza-Polaka, ze współczuciem wysłuchał skarg chłopskich na ucisk panów i pobudzał ich gorącym wezwaniem do walki z uciskającymi, okradając przy tym w tych mowach najbezbożniej terminologję agitatorów z r. 1905. Pewien korespondent opowiadał w swoim czasie, jak ze zgrozą słuchał podburzającego, czysto socjalistycznego kazania jednego z popów chełmskich. Gdyby — mówił korespondent — zdarzało się coś podobnego w głębi Rosji, z duchownego jużby natychmiast śladu nie było. Tutaj zaś spokojnie stali posłowie, administracja, policja, włościanie i zdawało się, że w Rosji trwa rewolucja socjalna. A potym agrarjusz Krupienskij jął przyjmować skargi na agrarjuszów—Polaków i wyjaśniać włościanom, skąd cały ucisk spadł na nich. Okazało się oczywiście, iż cała niedola chłopów pochodzi stąd, że Polacy—właściciele ziemscy, wyznają niedobrą wiarę katolicką. Oto, gdyby ich obywatele byli Rosjanami i przytym prawosławnymi!"...

Cała ta podróż z dekoracjami i z krokodylemi łzami Bobryńskich była tylko przygrywką do polityki hakatystycznej w Chełmszczyźnie. Fundusz dwumiljonowy na wykupienie ziemi z rąk polskich i rozdanie jej pomiędzy włościan rosyjskich, to już ideja arcydemagogiczna, która, jak słusznie twierdzi *Kijewskaja Myśl*, może do świadomości włościan głębiej przeniknąć, niż puste bzdurzenie pp. Bobrynskich i Krupienskich.

„Na pozór wszystko obmyślane niegłupio, ale tylko to zadanie nie na nasz rozum— mówi pismo, powyżej cytowane. — Nawet burząca twórczość nad siły naszych rodzimych polityków... Jak kucharki donaszają stare i wyszłe z mody kapelusze pani, tak samo nasi reakcjoniści donaszają ideje już zarzucone przez współbraci europejskich. Historja hakatyzmu w Prusiech jest znana: tam ponosi on porażkę. Prusy już mają to prawo, o które się starają hakatyści chełmscy, t. j. prawo wywłaszczenia, i, niestety, zetknęło się ono z całą siecią sprzeczności socjalnych, które zrobiły zeń pomysł poroniony... Niefortunna próba hakatystów pruskich, którzy zdobyli pożądane prawo, lecz nie otrzymali oczekiwanych rezultatów, wskazuje, jak są zawiłe próby socjalne, i jak ostrożnie trzeba do nich przystępować. Wobec zaś naszych domorosłych hakatystów, którzy zamierzają wykupioną ziemią załatać świecące dziury ogólnych niedomagań społecznych, rodzi się jeszcze pytanie: a cóż potym? Za pomocą ziemi chełmskiej można podniecić apetyty, a czym je zaspokoić?"

Prof. Pogodin w *Rieczy* również zabrał głos w sprawie polityki chełmskiej i, powołując się na stanowisko Rusinów, bynajmniej nie sprzyjające dążnościom reakcjonistów, wypowiedział następujące znamienne uwagi: „Widzimy dziś, że nastąpi coś wręcz przeciwnego optymistycznym oczekiwaniom rządu, że, przeciwnie, ludność prędzej jeszcze padnie w objęcia Polaków i że sprowadzać trzeba będzie innych, prawdziwszych jeszcze Rosjan. Jakie świetne widoki pokoju i pomyślności otwierają się przed szczęśliwym krajem! Nie trzeba być ani polono- ani ukraino-filem, lecz posiadać bodaj odrobinę poczucia państwowego, ażeby zrozumieć całą szkodliwość tego środka. I życzyćby należało, ażeby projekt, zrodzony w głębinach organizacji związkowych, jaknajrychlej znalazł się na dnie i już więcej się nie pokazywał na świat boży".

Nie stanie się jednak zadość życzeniom światłego profesora, i to nas nie powinno smucić. „Wyłączenie" Chełmszczyzny i wszelkie na jej terytorjach eksperymenty hakatystyczne nie przyniosą nam w re-

zultacie przegranej, lecz zwycięztwo. Aż takimi ciężkimi drogami przyszła Rosja musi dążyć do odrodzenia!

P.

W Rosji.

Rossija, a za nią wszelkie żywioły reakcyjne i świstki czarnosecinne z ogromnym oburzeniem i nadzwyczajną energją w ciągu paru miesięcy miotały pociski na prasę opozycyjną za to, że miast pomagać administracji i policji w tłumieniu.. wieści o cholerze i dżumie, usiłowała ostrzegać ludność przed niebezpieczeństwem i krytykowała środki walki z zarazą, polegające na protokułach, cyrkularzach, rozporządzeniach, karach, zawieszeniach i t. d. *Rossija* piętnowała prasę opozycyjną za jej uczucia i dążenia „niepatryjotyczne", bo „patryjotyzm" i „dobro ojczyzny" polegają na stosowaniu w życiu taktyki, uwiecznionej w zatytułowaniu słynnego obrazu Ajwazowskiego, przedstawiającego niemą scenę z wojny rosyjsko-tureckiej w r. 1877: „Na Szypce wszystko spokojnie!" Ową taktykę zastosował także wszechwładny Tołmaczew w Odesie i po pojawieniu się pierwszego wypadku dżumy w tym mieście, nakazał prasie w ciągu pięciu tygodni milczenie, które następnie musiał już sam przerwać, gdy zaraza przybrała szersze rozmiary. Tymczasem prasa opozycyjna nietylko nie była „wrogiem ojczyzny", lecz przeciwnie — wskazywała i zalecała te skuteczne środki ratunku, które wskazywali i wskazują urzędowi przedstawiciele opieki zdrowotnej, których jednak, jako uczonych specjalistów, nie chcieli usłuchać i uznać urzędowi przedstawiciele wszechstronnych władz administracyjnych. Główny inspektor lekarski, p Malinowski w Odesie, podczas rozmowy ze współpracownikami gazet miejscowych oświadczył, że „w Europie zachodniej żadne epidemje nie są straszne, gdyż ona pod względem zdrowotnym i kulturalnym zdała egzamin dojrzałości, podczas gdy Rosja przeszła zaledwie do klasy pierwszej"... „Środki przedsięwzięte nie są dostateczne. W czynnościach osób, powołanych do walki z epidemją, brak określoności; skutkiem tego panuje chaos, gmatwanina („nierazbiericha")". Inny urzędowy przedstawiciel, prof. Zabołotnyj, twierdzi, iż cała organizacja walki z dżumą w Odesie dotąd była prowadzona wadliwie i że stanowczo należy wprowadzić reformy, zgodne z wymaganiami nauki, oraz koniecznie trzeba przyciągnąć do tej walki możliwie najwięcej sił społecznych".

Podobno już i sam p. Tołmaczew nie jest przeciwnikiem owych sił społecznych, tylko, że, niestety, będzie wielki kłopot z ich wynalezieniem bez porzucenia przyjętych zasad i idei administracyjnych. Przedewszystkim do walki z epidemjami mogą być dopuszczone tylko te siły społeczne, które wykażą dostateczną lojalność, które nigdy nie brały udziału w żadnej opozycji. Ale nawet, gdyby i pod tym względem przyznano pewne wyjątkowe „ulgi" owym siłom społecznym, to do ich skupienia w tej formie, ażeby mogły toczyć skuteczną walkę z epidemjami, obecnie w Odesie są warunki bardzo niekorzystne. Obok środków lekarskich, obok pomocy medycyny i wszelkich zarządzeń sanitarnych, do podstawowych warunków walki z zarazą niezbędne jest uświadomienie mas co do samoobrony sanitarnej, bez tego uświadomienia, bez udziału owych mas niepodobna przedsięwziąć pomyślnej i skutecznej walki w formie wielkiej akcji społecznej. Ale to uświadomienie zdobywa się takimi środkami, jak odczyty, wykłady popularne, broszury i t. d. Tymczasem to wszystko właśnie w Odesie (jak również w innych ogniskach) jest oddawna wytępione i zakazane. Audytorja ludowe, szkoły niedzielne, czytelnie, towarzystwa literackie — wszystko to pozamykane. Nie oszczędzono nawet lecznic, w obawie, ażeby tam żydowskie i „kramolne" żywioły nie znalazły przytułku.

Zresztą trudno myśleć o jakiejkolwiek skutecznej walce z epidemjami w chwili obecnej, kiedy p. Tołmaczew jest zajęty walką z październikowcami z powodu wyboru nowego posła. Profesora, który chciał pokierować akcją wyborczą, p. Tołmaczew kazał kuratorowi okręgu naukowego wydalić z uniwersytetu za to, iż śmiał wobec niego dowodzić istnienia w Odesie partji październikowców. „Są tylko monarchiści!" — oświadczył gienerał stanowczo i tuż, przy nim, zażądał dymisji zuchwalca. Następnie zabronił ogłaszania list wyborczych październikowców i wszelkiej agitacji. Wreszcie usunięto tych wyborców—żydów, których imiona na liście są niezgodne z imionami w metrykach. Tym sposobem usunięto 40 proc. wyborców.

Podczas gdy w Odesie toczy się walka w tej formie o posła do Dumy państwowej, w Kijowie żywioły reakcyjne ogłosiły bojkot wyborów posła do Rady państwa. Inicjatorem tego bojkotu jest *Kijewlanin*, który przez usta p. Rewy przemawia do właścicieli ziemskich — Rosjan.

„Dla nas — pisze p. Rewa—nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na wybory członka do Rady państwa do Kijowa przybędzie znacznie mniej Rosjan, niż Polaków. Jest to nieuniknione i nic na to poradzić nie można".

Prawda, iż Rosjan—wyborców (obywateli ziemskich) jest o 20-tu więcej, niż Polaków. Ale to dla p. Rewy bynajmniej nie jest pocieszające, podczas gdy Polacy siedzą u siebie w domu, Rosjanie przebywają w stolicach rosyjskich i zagranicą. Nadto, wśród Rosjan obywateli poczucie społeczne mniej jest rozwinięte niż śród Polaków". Tak, np., podczas wyborów przeszłorocznych brak było obywateli—Rosjan 65 proc. gdy Polaków tylko 35 proc. Obecnie p. Rewa przewiduje również zwycięztwo Polaków i wobec tego, radzi bojkot wyborów. W taki sposób żywioły reakcyjne zaznaczyły swą bezsilność w tych wypadkach, gdy im nie przychodzą z pomocą nadzwyczajne, specjalne przepisy antypolskie. Ale mogą się pocieszyć, że w sprawach zasadniczych kruk krukowi oka nie wykole. Wszakże w Kijowszczyźnie kandydatami do Rady państwa mogą być tylko *żubry* polskie i rosyjskie, których programy, dążenia, ideje, cele i interesy są bardzo do siebie zbliżone. Nie wiele więc zyska na pośle—Polaku Polska, natomiast nic nie straci wielka własność rosyjska. Gdyby to sobie uprzytomnili reakcyjni bojkotowcy rosyjscy, zaniechaliby tego kompromitującego środka, ujawniającego ich bezsilność.

Podczas gdy w Kijowie reakcjoniści zapowiadają bojkot wyborów posła do Rady państwa, nad całym państwem gromadzą się chmury ciemnoty. Nieprzebrana moc okólników p. Szwartza zepchnęła oświatę rosyjską na brzeg przepaści. Ograniczenie procentowe żydów (15 proc.), obowiązujące dotąd tylko w szkołach rządowych, a obecnie rozciągnięte na szkoły prywatne, jest wyrokiem śmierci dla znacznej liczby tych szkół. W „granicach osiadłości" żydów, większość szkół prywatnych, męzkich i żeńskich, istnieje tylko dzięki napływowi żydów. Z chwilą wprowadzenia normy procentowej, wiele szkół będzie musiało przerwać swe istnienie, na czym stracą nietylko żydzi, ale i owa znaczna, przeważająca liczba chrześcjan. Stracą także zarobki liczne rzesze nauczycieli! Ale gdzie chodzi o jakąkolwiek ideję, tam się nie zważa na straty, chociażby największe. Działalność p. Szwartza jest nawskroś przesiąknięta ideją, mającą na celu zapewnienie nauki wybrańcom, o czym między innymi wymownie świadczy projekt ustawy wykształcenia średniego. Ministerjum — jak wyjaśnia *Riecz* — zamierza drogą oddzielenia klas niższych dokonać pewnego rodzaju przesiania uczniów, w celu, aby do gimnazjum mógł się dostać zastęp tylko „odpowiednich".

Uważając za możliwe otwarcie szkół przygotowawczych w wielkiej liczbie, reforma dąży do możliwego ograniczenia liczby szkół średnich, bez względu na to, że uwagi objaśniające, dołączone do projektu, stwierdzają śród ludności niewątpliwy wzrost potrzeby wykształcenia średniego. Odłączenie szkół przygotowawczych od gimnazjów ujawnia w istocie swojej dążenie do wytworzenia szkoły dla różnych „stanów", do usunięcia z niej tego żywiołu demokratycznego, który w niej przeważa. Szkoły przygotowawcze, to środek odciągnięcia szerszych warstw ludności od gimnazjów, do których dostęp otwarty będzie według możności tylko dla wybrańców. Tendencji tej do arystokratyzacji szkoły średniej towarzyszy *jawnie wyrażona dążność do zmniejszenia liczby szkół średnich.* Ministerjum pragnie wprowadzić do systemu szkolnictwa pogląd nowy, że wydatki na wykształcenie średnie powinny być czerpane przeważnie ze środków miejscowych. „Ministerjum bynajmniej nie troszczy się o to, że w wielu miejscowościach zarządy ziemskie i miejskie nie będą miały możności poprzeć istnienia szkoły średniej. Zdaniem twórców projektu, będzie to tylko dowodem, że szkoła średnia nie jest potrzebna. Tą samą tendencją można objaśnić, że ministerjum troszczy się nadzwyczajnie, ażeby uwalnianie od wpisów w gimnazjach nie sięgało zbyt daleko". Uwolnieniu od wpisów podlegać może tylko 10 proc. uczniów, a najciekawsza jest uchwała, że jeżeli instytucje lub osoby, popierające gimnazjum, dają środki na uwolnienie od wpisów większej liczby uczniów, to *należy otrzymać na to specjalne pozwolenie od ministerjum oświaty!!*

Aż nadto jawnie, bez wszelkich osłonek wysuwa się tu dążność do utrudnienia wstępu do szkół i do zmniejszenia ich liczby. Taka polityka reakcyjna ma swoją logikę: im więcej ciemnoty, im dłużej ona trwać będzie, tym dłuższe będzie panowie biurokracji, reakcji i wszelakiego wstecznictwa. Im więcej ciemnoty, tym więcej żywiołów uśpionych, a więc lojalnych — w pojęciu biurokracji. Oświata — to niebezpieczna rzecz: rozszerza widnokręgi, budzi krytycyzm i opozycję, budzi drzemiące fale niezadowolenia... Trzeba się zgodzić ze złem koniecznym: z istnieniem szkół, ale już jeżeli one są, to niechże ich będzie jaknajmniej, niech one będą dostępne tylko dla sytych i zadowolonych. Zresztą i w takich warunkach niezupełnie są one bezsprzeczne, bo kto wie, przez jakie pryzmaty będą promienie przesiąkały do tych głów ze środowiska lojalnego, jak się będą załamywały i jakiego zabarwienia po drodze nabiorą. Umysł młodzieńczy jest giętki a dusza wrażliwa. Trzeba więc dążyć do zdobycia i utrwalenia w dziedzinie pedagogji takich metod, które wpłynęłyby na skostnienie mózgów i zwapnienie dusz, a natomiast wpłynęłyby na giętkość ciała, zwłaszcza nóg i karku. Współcześni gienjalni pedagogowie już są na drodze tego cudownego wynalazku: prowadzą do niego próby z „ucieszn ymi pułkami", które prasie rosyjskiej dostarczyły tematu do jadowitej satyry. Między innymi feljetonista *Rieczy*, kreśląc obraz nauki młodzieży, która tworzy szeregi „pułków ucieszn ych", taką przedstawia przyszłość oświaty rosyjskiej w ramach satyrycznych: ...„I gdy wszystkie szkoły przesiąknęły duchem wojskowym do tego stopnia, że nauczyciele zaczęli ukrywać to, iż umieją pisać i natomiast jęli się podpisywać krzyżykami, ministerjum oświaty powiedziało: „Teraz już czas zrobić ostatni krok." I wydano nowy cyrkularz, który brzmiał w ten sposób: „Uważając wyrazy „szkoła", „gimnazjum" za niecenzuralne i obrażające uczucie patryjotyczne ludzi prawdziwie rosyjskich, postanowiliśmy zastąpić je wyrazem bardziej odpowiednim: *koszary*. Niechaj więc od dziś nie będzie szkół i gimnazjów, ale tylko: *koszary oświaty publicznej.* Pod cyrkularzem podpisano: Minister koszar oświaty publicznej" (podpis nieczytelny)"... *Justus.*

O narodowej demokracji w Galicji, namiestniku Bobrzyńskim i większych sprawach kilka uwag.

W Nr. 234 „*Gazety Warszawskiej*" zamieszczony został wyciąg z mojej ostatniej korespondencji z Galicji do „*Prawdy*" wraz z komentarzami niewiadomego autora.

Dziwi go bardzo, że ja, „były socjalista", jak mię charakteryzuje, „uwielbiam" p. namiestnika Bobrzyńskiego, za mistrzowskie i konsekwentne zwalczania narodowej demokracji w Galicji. Następnie publicysta nacjonalistyczny, czytając jeden z ustępów mojej korespondencji, podkreśla ten fakt, że mówiąc o wadach wszechpolaków w Galicji, o szkodzie, jaką przynoszą krajowi i narodowi naszemu, wspomniałem też, że działalność ich niekorzystną jest i dla państwa.

Wyraz „państwo" został nawet wydrukowany inaczej aby w ten sposób zaakcentować ten skandal, że Polak, radykał, „były socjalista" interesuje się tym, co jest korzystne, albo szkodliwe dla Austrji.

Publicysta z „*Gazety Warszawskiej*" udaje, że nie rozumie, dlaczego cieszę się z powstania nowego stronnictwa w Galicji, które niewątpliwie osłabi narodową demokrację. Poprzednie moje korespondencje z Galicji, drukowane w „*Prawdzie*" powinny dać mu w tym względzie wyjaśnienia wyczerpujące. Tu przypomnę mu tylko, że narodowa demokracja:

1) zaostrza antagonizm polsko-rusiński w Galicji i utrudnia uregulowanie stosunków między dwoma narodami;

2) łączy się z najwsteczniejszymi w kraju żywiołami t. j. z podolakami, największymi przeciwnikami reformy wyborczej do sejmu;

3) uprawia politykę klerykalną, czego nowym dowodem było zachowanie się jej w sprawie prof. Janika.

4) prowadzi wstrętną agitację demagogiczno-nacjonalistyczną, najlepszym wyrazem której jest pisemko brukowe „*Goniec*";

5) dąży głównie do zdobywania różnych wybitnych stanowisk w kraju, przez forytowanie na nich swoich ludzi, często zupełnie nieodpowiednich;

6) prowadzi politykę nieszczerą, występując często z hasłami urzeczywistnienia, których nie pragnie;

7) wykazuje wreszcie arogancję wobec ludzi i stronnictw jej obcych, przechodzącą wszelkie granice.

Narodowa demokracja w Galicji, jak i w Królestwie, jest stronnictwem, które: obniża poziom kulturalno-umysłowy naszego społeczeństwa, które cofa je wstecz, które przez to godzi w jego żywotność.

Pomijając już politykę narodowej demokracji, uznać należy, że rola jej obyczajowo-umysłowa jest wysoce szkodliwa. Nasi nacjonaliści utrwalają przesądy w społeczeństwie polskim i chcą je odgrodzić murem chińskim od najświeższych prądów myśli zachodnio-europejskiej. Słowem, narodowi-demokraci są to barbarzyńcy.

Oczywiście, jak wszędzie, tak i tu są wyjątki.

Z szacunkiem należy wspomnieć o pracy humanitarnej posła Adama w Galicji, który, będąc narodowym demokratą, dużo robi zarazem na polu kulturalnym. Niedawno wybudował wspaniałą bursę, dla biednej młodzieży, o której napiszę przy sposobności. Wyjątki takie nie są w stanie zmienić ogólnego sądu o narodowej demokracji, jako stronnictwie.

Przechodzę teraz do namiestnika Bobrzyńskiego.

Jako najwyższy urzędnik państwowy w kraju, wyróżnia się on dodatnio od wszystkich swoich po-

przedników. Niezawodnie, obok Gołuchowskiego jest to najwybitniejszy namiestnik Galicji. Aby nie sięgać zbyt daleko, przypomnijmy sobie, 3 ostatnich poprzedników dr. Bobrzyńskiego.

Książe Sanguszko był człowiekiem osobiście uczciwym, pełnym dobrych chęci, ale skończonym niedołęgą, niemającym pojęcia o administracji państwowej, pozbawionym wszelkiej myśli politycznej.

Miejsce jego zajął hr. Piniński, profesor uniwersytetu lwowskiego, podolak, półpanek, estetyk i lichy kompozytor muzyczny. Hr. Piniński był i jest wstecznikiem najgorszego gatunku, który zwalcza zapamiętale wszelką reformę demokratyczną. On to był głównym opozycjonistą w Izbie panów przeciwko reformie wyborczej do parlamentu, on to zwalczał i zwalcza wszelkie reformy podatkowe, mające na celu większe opodatkowanie klas bogatych, celem ulżenia klasom biednym. Jako namiestnik, hr. Piniński łączył niedołęstwo ks. Sanguszki z wstecznictwem; rządy jego odznaczały się systemem protekcyjnym, który przybrał niesłychane przedtym rozmiary. Najważniejsze sprawy czekały lata całe na załatwienie. Nadużycia w administracji przybrały zatrważające rozmiary.

Hr. Piniński w jednym tylko kierunku był dbały, oto starał się być usłużnym sąsiadem wobec Rosji i gotów był usuwać z Austrji emigrantów, wtedy nawet, kiedy państwo to tego nie żądało. Mógł on być dobrym administratorem jakiejś kawiarni artystycznej, ale nie kraju, jak Galicja.

Hr. Andrzej Potocki był energiczniejszy od Pinińskiego, i mniej od niego konserwatywny. Korzystając z wielkiego zachowania u dworu, umiał, zwłaszcza w sprawach ekonomiczno-finansowych, zyskiwać szybko i dość dużo dla kraju, kiedy trzeba było otrzymać jakieś zasiłki z Wiednia.

Jako polityk, nie miał żadnej głębszej myśli.

W kwestji rusińskiej wpadł na pomysł niefortunny, sojuszu — z moskalofilami przeciwko narodowcom. Zresztą był to wielki pan, który miewał swoje fantazje... Pod koniec swojego życia znudził się namiestnikostwem i chciał ustąpić.

Popularnym i „wielkim" stał się po śmierci, skutkiem tego, że zabił go Rusin. Dzięki temu, mieć będzie pomnik, chociaż nie mają go tacy ludzie, jak Kołłątaj, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski i wielu innych.

Dr. Bobrzyński, jako namiestnik, jest człowiekiem zupełnie nowożytnym. Walczy energicznie z nadużyciami, i dąży do ścisłego przestrzegania ustaw. Nie narusza swobód obywatelskich.

Pragnie załagodzenia antagonizmu polsko-rusińskiego. Wogóle wzrok jego sięga znacznie dalej, niż jego poprzedników.

Jako człowiek rozumny, dla którego doświadczenie wieków nie przeszło bez śladu, wie on, że narodowa demokracja może tylko szkodę przynieść krajowi. Dlatego też, nie bojąc się narazić na niepopularność, co jest u nas rzadkim przymiotem, zwalcza wszechpolski nacjonalizm.

Oczywiście, dr. Bobrzyński nie jest radykałem. Ale cóż z tego? Czy, będąc socjalistą, a nie „byłym socjalistą", jak naiwnie przypuszcza publicysta z *Gazety Warszawskiej* — nie mogę ocenić bezstronnie działalności obecnego namiestnika Galicji? Przeciwnie właśnie dlatego, że jestem socjalistą, łatwiej mi zdobyć się na objektywizm. Istotnie, socjalizm jako doktryna uznaje konieczności społeczne i z tego punktu widzenia nie stawia wymagań subjektywnych ludziom. Będąc socjalistą, rozumiem dobrze, że ani dziś, ani w przyszłości bliższej namiestnik Galicji nie może być nietylko już socjalistą, ale nawet radykałem.

Działalność dr. Bobrzyńskiego ocenić muszę na tle tych stosunków politycznych, jakie istnieją obecnie w Austrji wogóle, a w Galicji w szczególności. I dlatego muszę przyznać, że jest to urzędnik sumienny, polityk bystry i dalekowidzący, jest to przedewszystkim europejczyk. *Gazeta Warszawska* mogłaby się także dziwić, że w swoich korespondencjach w *Prawdzie*, odzywałem się z szacunkiem o cesarzu Franciszku Józefie że jego dobrej woli, powstałej na tle długich doswiadczeń przypisałem dużą rolę w utrwaleniu się stosunków konstytucyjnych w Austrji.

Narodowi demokraci dziwią się, że w rozumowaniach moich względy państwowo-austryjackie odgrywają role. Tak jest istotnie. Wcale się z tym nie kryję. Ale i to nie znajduje się w żadnej sprzeczności z moimi poglądami zasadniczymi.

Minął już ten czas, kiedy socjaliści jednakowo odnosili się do wszystkich państw i stronnictw burżuazyjnych, kiedy chcieli być poza obrębem walk między różnymi czynnikami dzisiejszego ustroju.

Dla socjalistów nie jest i nie może być obojętne, czy jedno albo inne państwo ma stanowczą przewagę w układzie sił międzynarodowych, czy jedno albo inne stronnictwo burżuazyjne sprawuje rządy w kraju i t. p.

Jako Polak i socjalista, uważam, że, przy dzisiejszym układzie sił międzynarodowych, silna i niezależna w swojej polityce Austryja jest czynnikiem dodatnim.

Wyraz państwo nigdy mnie nie straszył. Nigdy nie byłem anarchistą i państwo uważam za instytucję konieczną nietylko dziś ale i w przyszłości, co zresztą logicznie wypływa z zasad socjalizmu. Chociaż nie wszyscy socjaliści zdają sobie z tego sprawę,

Czy się jest socjalistą, czy nie trzeba, zawsze patrzeć na rzeczy jasno, nie bać się mówić prawdy i nie oszukiwać ani siebie, ani innych.

Zawsze starałem się w myśl tych zasad pisać i działać, nigdy też nie zważałem na to, czy się to komu może podobać albo nie.

Żadnej sprzeczności między moimi podstawowymi zasadami, a poglądami o sprawach bieżących nie ma.

Ludwik Kulczycki.

Odosobnienie Niemiec.

Problemat niemiecki pozostaje wciąż zasadniczym zagadnieniem współczesnej polityki europejskiej. Nie oto chodzi, że reakcja rządzi w Niemczech, bo — oprócz nich — mamy jeszcze w Europie kilka innych państw reakcyjnych; lecz idzie o to, że Niemcy są jedynym *silnym* państwem reakcyjnym w Europie. Wstecznictwo niemieckie jest nietylko czynnikiem zastoju w samych Niemczech, lecz i podporą i ucieczką wszystkich reakcyjnych prądów w innych krajach, a jednocześnie potężnym hamulcem wolnościowych zamierzeń na szerszą skalę, które wychodzą z inicjatywy państw liberalnych. Niemiecką reakcję, militaryzm tego państwa, jego ciągłą tendencję zaborczą, która zmusza wszystkich innych do trzymania się na ostrożności — całkiem mylnie tłumaczą rozrostem niemieckiego przemysłu. Rozwój przemysłu wymaga rynków zbytu, chodzi o to, aby te rynki były wolne, lecz czyją przynależność państwową stanowią one, kto sprawia na nich policję i sądy, to dla przemysłu jest absolutnie wszystko jedno, byle je dobrze sprawiał. Pomiędzy zbytem towarów, a zbytem urzędników — jest cała przepaść różnic, widoczna najlepiej może w Niemczech, których towary wcale prawie nie idą do własnych kolonji, lecz do innych niepodległych państw. Otóż nie rozwój przemysłu, a rozrost biurokracji i militaryzmu, rozrost urzędnictwa, w którym znajduje wygodne powiększenie zbankrutowana, pra-

---

1) Porówn: „Moralność i Życie" Warszawa 1909. Księg. Sadowskiego, rozdział III „Etyka polityczna".

gnąca nadal grać dominującą rolę — szlachta, taki rozrost warunkuje militarno-ekspansywne tendencje niemieckie. Pogląd ten uzasadniałem niejednokrotnie[1]). Tutaj nie tyle chodzi mi o przyczyny, ile o skutki reakcji niemieckiej Pomijam również te skutki, o ile dotyczą wewnętrznych stosunków niemieckich (cła zbożowe i mięsne, sztuczne utrzymywanie na powierzchni wielkiej własności ziemskiej, forytowanie szlachty w armji i urzędach, uprzywilejowane stanowisko szlachty w sejmie pruskim, szeroka władza pruskiej izby panów i t. d. i t. d.). Chodzi mi o wyświetlenie kwestji, jaki wpływ ma reakcja niemiecka na państwa zachodnie, na Rossję i na Austrję? Tak ograniczony temat jest jednak swoją drogą olbrzymi i wymaga zwięzłości.

Państwa zachodnie, t. j. Anglja i Francja, wobec agresywno-militarnej postawy Niemiec nietylko nie mogą zaprzestać uzbrojeń i poświęcić na reformy społeczne miljardów, wydawanych dziś na cele wojenne, lecz muszą się zbroić nadal, aby dorównać Niemcom i zabezpieczyć nietylko swoją niezależność, ale i swój wyższy ustrój polityczno-społeczny. Za przykładem Anglji i Francji muszą iść wszystkie małe wolne kraje zachodnie: Holandja, Belgja, Danja, Szwajcarja, którym grozi zupełnie to samo niebezpieczeństwo. Demokratyczny Zachód, pomimo całego swojego pragnienia do oddania się wyłącznie pokojowej pracy kulturalnej, musi stać pod bronią, aby nie iść, niby dawna Grecja wobec Persów — na żer pruskich barbarzyńców.

Oto jeden rezultat. Wpływ reakcji niemieckiej na Rosję jest niemniej doniosły. Rosja, „aż po Wołgę", jak to zupełnie szczerze mówią hakatyści, doskonale się nadaje na zdobycz niemiecką. Im ta Rosja będzie słabszą, tym łatwiej ją będzie zdobyć, a będzie tym słabszą, im będzie reakcyjniejszą. Stąd bardzo prosty wniosek: należy popierać reakcję rosyjską. O ile Anglja i Francja, aby zachować Niemcy od wschodu i ulżyć sobie ciężaru zbrojeń, pragną mieć Rosję silną i wolną, — o tyle Niemcy, aby ułatwić sobie zdobycz, pragną mieć Rosję słabą i uciemiężoną. Powtarza się sytuacja dawnej Polski, którą Francja, aby zachować Austrję od wschodu, pragnęła mieć silną, bogatą i dobrze zorganizowaną i dla tego popierała w niej wszelkie reformy, a Austrja, pragnąć ją osłabić do reszty, stała zawsze po stronie magnacko-klerykalnej reakcji polskiej. W obecnej sytuacji miejsce Austrji zajęły Prusy, miejsce Polski—Rosja, lecz sytuacja sama jest zupełnie podobna. Jednak obawa wzmożenia potęgi niemieckiej jest tak wielka, iż nawet, gdyby reakcjoniści rosyjscy chcieli sami całe państwo oddać Prusom, to i tak Anglja i Francja nie pozwoliłyby na powiększenie terytorjum niemieckiego ani na jeden łokieć kwadratowy. Niemcy, wypowiadając wojnę Rosji, tym samym wypowiedziałyby ją Anglji i Francji i dla tego, prawdopodobnie, jej nie wypowiedzą. Niemcy, popierając reakcję rosyjską, będą osłabiać tylko Rosję, właściwie bez korzyści dla siebie, bo Rosja, nawet najbardziej osłabiona, i tak jest zabezpieczona od inwazji niemieckiej przez państwa zachodnie, i w ich interesie. To też, gdyby w grę wchodziły tylko te cztery państwa: Anglja, Francja, Niemcy i Rosja — położenie byłoby względnie proste. Anglja i Francja, bądź zniecierpliwione ciężarami militarnymi, bądź wprost sprowowokowane przez Niemcy, musiałyby zwyciężyć Niemcy, przetworzyć je w państwo demokratyczne, sprzymierzyć ze sobą, zniewolić do zaprzestania uzbrojeń i wówczas reakcja rosyjska, pozbawiona wszelkiego punktu oparcia zzewnątrz, musiałaby albo dobrowolnie ustąpić z pola, albo Rosja miałaby do czynienia z przymierzem anglo-franko-niemieckim, przymierzem trzech demokracji, mającym na celu również i zdemokratyzowanie polityczne Rosji.

Zobaczmy, czy tej prostej linji przewidywań nie mąci udział w grze Austrji i Włoch. Interesa reakcji niemieckiej wymagają od Austrji przedewszystkim bezwzględnego posłuszeństwa: Austrja ma być niby jakąś Saksonją, dostarczającą wojsk, ale pozbawioną prawa prowadzenia własnej polityki zagranicznej, następnie — zupełnie niemieckiego charakteru tego kraju. W Austrji mają panować Niemcy. Ponieważ inne narodowości mają większość w tym państwie, więc chodzi o pokłócenie ich ze sobą, chodzi o to, aby narodowości nie-niemieckie nigdy nie tworzyły związku i aby w ten sposób Niemcy, nie mając większości, mieli jednak przewagę. W dalszym rozwinięciu tego programu będzie chodziło prawdopodobnie o przyłączenie do Niemiec niemieckich prowincji Austrji i o wypchnięcie Habsburgów na południe i na wschód, drogą oczywiście konfliktów z państwami bałkańskimi i z Rosją. Wobec tego, Niemcy z jednej strony podniecają wszelkie spory czesko-polsko-rusińsko-słoweńsko-włoskie, z drugiej pchają Austrję na drogę uzbrojeń. Aczkolwiek, naogół biorąc, Austrja i jej ludy poddają się dotąd tym wpływom, jednak są dość potężne czynniki, które im przeciwdziałają. Najprzód kłótniom narodowościowym i wydatkom militarnym skutecznie przeciwdziałają w Austrji ci idealni demokraci-federaliści, którzy noszą tam nazwę socjalistów i którzy tworzą cudowny zawiązek federacji wolnych ludów, oddających się pokojowym i cywilizatorskim pracom. Następnie — Austrja, aby mieć wolne ręce na południe i wschód, musiałaby mieć zabezpieczoną granicę zachodnią, a biorąc pod uwagę zarówno makiawelizm włoski, jak i namiętne sympatje francuskie antyklerykałów, rządzących na półwyspie apenińskim, oraz pretensje Włoch do Trydentu i Tryjestu, to wolno się domyślać, od czasu zjazdu w Raconigi szczególnie że Włochy odgrywają tę samą rolę hamulca Austrji w jej zapędach na wschód i południe, jaką, w stosunku do podobnych zapędów niemieckich, odgrywa Anglja i Francja. Austrja, trzymając się za poły Prusaków, wysila się najniepotrzebniej w świecie, gdyż jej wysiłki, o ile chodzi o nowe zdobycze, pozostaną bezowocne.

Słowem, wpływ Prus na Austrję jest w gruncie rzeczy taki sam, jak na Rosję: popieranie prądów reakcyjnych, osłabianie kraju przez podniecanie militaryzmu, szerzenie waśni narodowościowych. Niepodobna oczywiście przewidzieć, jak długo Austrja podlegać będzie wpływom berlińskim, lecz to pewna, że dopóki pozostaje w przymierzu z Prusami, reprezentuje ona czynnik reakcji międzynarodowej, na który żadna sprawa wolnościowa liczyć nie może. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w Austrji wzięły górę kierunki szersze demokratyczne, odbiłoby się to również i w polityce zewnętrznej tego państwa, a odbiło w ten mianowicie sposób, że Austrja oddaliłaby się od Berlina i zbliżyła do Paryża i Londynu. Dopiero taka Austrja, sprzymierzona z państwami zachodnimi, mogłaby być czynnikiem międzynarodowego postępu, a wówczas odosobnienie Niemiec i rozstrzygnięcie w duchu haseł demokratycznych zarówno problemu niemieckiego, jak i problemu rosyjskiego byłoby nader łatwe.

Jednak, jak widzimy, taka czy inna postawa Austrji może tylko ułatwić lub utrudnić zadanie państwom zachodnim, wpłynąć zasadniczo na bieg wypadków nie może. Skrycie zaszachowana przez Włochy, Austrja ani nie dopomoże Niemcom w wojnie z Anglją i Francją, ani nie skorzysta z tej wojny, aby rozszerzyć swoje posiadłości na wschód. Później — głos jej też niewiele ważyć będzie ani przy demokratyzacji politycznej Niemiec, ani też jeszcze później przy takiej że demokratyzacji Rosji. Dla rozwoju Austrji dzieje się wielka szkoda, że państwo to od dziś albo nie zrzeknie się zupełnie prowadzenia polityki zagranicznej, albo też, jeżeli już chce ją prowadzić, że nie trzyma się Francji i Anglji.

A więc wszystkie matactwa reakcji niemieckiej

uzbrajają Zachód, osłabiają Rosję i Austrję, wszędzie wstrzymują cywilizację, ale nigdzie nie prowadzą do wzrostu potęgi niemieckiej, — przeciwnie, wobec postępującego uświadomienia narodowego i demokratyzacji mas, wytwarzają one Niemcom wciąż liczniejszych nieprzyjaciół i doprowadzają państwo niemieckie do stanu zupełnego odosobnienia, które głośny Harden już dziś stwierdza.

Jerzy Kurnatowski.

Wielki gwałt w małym kramiku.

Znana jest na bruku wielkich miast następująca sztuczka złodziejska: Wyciąga się jakiemuś „frajerowi" portmonetkę z kieszeni, a następnie krzyczy się wielkim głosem: „trzymajcie, łapajcie złodzieja! tego tam!" pokazując pierwszego lepszego ulicznika. Powstaje popłoch, zamięszanie, a sprytny „doliniarz" idzie sobie spokojnie do szynku,

Również znaną była przed kilku laty na gruncie warszawskim bardzo oklepana sztuczka bandycka. Osobnik, pragnący zdobyć cudzą monetę, fabrykuje sobie jakieś kwitarjusze partyjne i zjawia się w pierwszym lepszym kantorze lub sklepie z żądaniem składek na konspiracyjne cele. Naiwni, lub tchórzliwi, nie badając sprawy — dawali, ile mogli. Mniej naiwni szukali drogi do danej partji i ta demaskowała ptaszka; czasem go po swojemu karała. Byli i tacy, co bez ceremonji wzywali policji. W dwuch ostatnich wypadkach szajka bandytów zwykła czynić alarm, niby najniewinniejsze ofiary prześladowań politycznych.

Męczennikiem idei mienił się wtedy każdy szubrawiec, który nim zaczął broić, zaopatrzył się w jakąś partyjną pieczątkę.

Ta maskarada polityczna lumpen-proletarjatu wyrządziła niesłychane krzywdy ruchowi robotniczemu, dostarczając faktycznych argumentów tym, co radzi byli wmawiać w ogół, że socjalizm zasadza się na pożądaniu cudzego zegarka i piciu na kredyt po wszystkich knajpach na rachunek partyjnej kasy. Sienkiewicz, który może żywego socjalisty nigdy zblizka nie oglądał, ale który, dzięki swym rozsławionym wysokim honorarjom, mógł stanowić przynętę dla bandytów z brauningiem i pieczątką — zobrazował w swej powieści ten ruch rozbójniczy pod mianem ruchu proletarjackiego, a niemniej od niego bystry obserwator, p. Straszewicz, doszedł do wniosku, że „metody rewolucyjne" polegają na mijaniu się z prawdą.

Nie myślę bynajmniej uniewinniać tych panów; sumienność, obowiązująca każdego, a zwłaszcza pisarza i publicystę, nakazywała im brać w rachubę liczne zastępy bandytów bez partyjnej pieczątki i kłamców reakcyjnego kierunku, by ustrzedz się pośpiesznych uogólnień, spotwarzających całe partje i prądy polityczne.

Głównym jednak wrogiem tych partji i prądów nie są ich naturalni antagoniści — lecz te zuchwałe szajki, które, podszywając się pod ich firmę, czynią sobie z niej tarczę ochronną przeciw zasłużonym pociskom uczciwej opinji publicznej.

Obecnie, gdy fala rewolucyjna odpłynęła, a partje proletarjackie nie posiadają już ani siły, ani organizacji dostatecznej, by ścigać i demaskować tych, co bezkarnie broją pod ich fałszowanym szyldem, bandytyzm nabrał pewności siebie i przeniósł swe metody działania w sferę publicystyki.

Wyrazem tego kierunku jest *Młot*, obwołujący sam siebie w ostatnim numerze „jedynym politycznym pismem robotniczym w Królestwie", „walczącym o wyzwolenie materjalne i duchowe klasy robotniczej" o „obronę cywilizacji ogólnoludzkiej!" Na ten niewinny, czysto ideowy organ, służący wielkiej sprawie, a stąd nietykalny, rzucili się pono „z sykiem i wściekłością" nietylko konserwatyści i endecy—ale o zgrozo! „postępowcy" i „wolnomyślni" „pogromczycy" socjalizmu i wprawdzie nie „tłuką maszyn", jak podobno czyni „burżuazja" w Argentynie, ale co gorsza „zaglądają do cudzych portmonetek".

To ostatnie nigdy nie było piętnowane przez istotny ruch robotniczy, który uznaje, że *prywatne* portmonetki winny nieraz podlegać *publicznej* rewizji i legitymować się ze swej zawartości, ale jest w najwyższym stopniu denerwujące dla lumpen-proletarjatu, którego na taką legitymację nie stać.

W całym tym akcie oskarżenia pominięto tylko jedną drobną okoliczność, mianowicie, że rycerze *Młota* rzucili się pierwsi „z sykiem i wściekłością" na postęp, na wolnomyślicielstwo, na socjalizm polski i na działaczy, pracujących niestrudzenie nad podniesieniem materjalnym dobrobytu klas pracujących. Jeżeli więc obrywają guzy, to takie, jakich sami szukali.

Pan Wojciechowski, twórca ruchu kooperatystycznego w Królestwie, jest dla nich „ogłupiaczem robotników" „wrogiem ludu roboczego" „jurgieltnikiem wyzyskiwaczy", Daszyński „wciska się gwałtem w tłum klechów i reakcjonistów", Bolesław Wysłouch „sprzedaje się za 2 miljony koron rządowi", Niemojewski jest „kłamcą i prowokatorem", Moszczeńska również pono kłamie. Oto, jak panowie Warscy, K. Radki, Sztein, — Kamieńscy et comp. służą ogólno ludzkiej cywilizacji i ruchowi wyzwoleńczemu proletarjatu!

W szczególności rozpatrzmy dziś owo oskarżenie o kłamstwo; musi je nazwać bezczelnym każdy, kto się przekona, jak *Młot* służy prawdzie. Brak miejsca nie pozwala na wypisywanie całej antologji kłamstw *Młota*, choć taki zbiorek „złotych myśli" mógłby być ciekawym.

„Drobnomieszczańskie Czechy", kroczą na czele neoslawizmu, rusofilstwa i — *giermanofilstwa* (sic!)" (Nr. 2 str. 1-sza.)

„W czasie „godów poznańskich" Hotel Bazar, ognisko życia towarzyskiego Polaków—„jaśniał wspaniałą iluminacją na cześć Wilhelma II-go." Wiadomo, że nie iluminowano go wcale.

„Mieszczaństwo polskie w końcu przecież udekorowało domy i sklepy". Nieprawda; *Kurjer Poznański* wyliczył wszystkie firmy polskie, które iluminowały; było ich 10 proc., w tym 35 proc. hotelistów. Jeżeli więc wolno stąd wysnuć jakieś uogólnienie, to raczej, że mieszczaństwo nie iluminowało.

„Narodowi demokraci też radzili pójść nie wszystkim, zaproszonym, lecz tym, co piastują urzędy". Nieprawda; poznańska narodowa demokracja prowadziła zaciętą kampanię przeciw „pójściu na zamek" i jej w znacznej części zasługą jest, że Bazaru nie iluminowano, choć w jego zarządzie skupili się leaderzy partji dworskiej. „I gdyby robotnicy nie zmącili tego chóru, mógłby Wilhelm II-gi pomyśleć, że najlepszym sposobem zdobycia sympatji narodu polskiego jest polityka giermanizacji i ucisku". Znowuż nieprawda; robotnicy polscy nie mącili chóru polskiego, gdyż — jak wiemy — olbrzymia ich większość, zgrupowana w polskim Związku robotniczym, pozostaje tam pod wodzą endecji, czyli Tow. narodowo-demokratycznego.

To jedynie jest prawdą, że robotnicy *Niemcy* zmącili hakatystyczny chór *niemiecki*, nie solidaryzując się z przyjęciem, co im za zasługę policzyć należy, choć uczynili to zarówno ze względu na towarzyszy Polaków, wchodzących częściowo do ich związków, jak i dlatego, że polityka Wilhelma jest nietylko antypolską, lecz i antysocjalistyczną.

Cały artykuł „Gody poznańskie" w N-rze 4 jest wiązanką notorycznych kłamstw.

„Ostatnie wybory do Dumy dały nam próbę polityki postępowców naszych, wpraszających się do akordu z realistami i Narodową Demokracją". *Młot*

zapomina, że nie drukuje tego w Madrycie ani w Lipsku, lecz w Warszawie, gdzie ludzie pamiętają wybory do III-ciej Dumy, wiedzą, że jedynie N.-D-cja stanęła do urny i to w zmniejszonej liczbie, a nawet „akordu z realistami" nie było, nie mówiąc już o postępowcach.

O tym, że olbrzymia większość robotników polskich wzięła udział w obchodach grunwaldzkich tam, *gdzie one się odbyły*, wiedzą wszyscy ci, co w tych obchodach uczestniczyli, lub czytali o nich niefałszowane sprawozdania. Nie wątpi o tym wreszcie i *Młot*, lecz go to bardzo boli, że ludzie nie dają się złudzić wrzawą tłumu, symulowaną za kulisami, ani uwierzyć, że on właśnie reprezentuje „najbardziej wpływową partję robotniczą". Na to, aby napisać i wydrukować protest przeciw uroczystości grunwaldzkiej, nie potrzeba „partji"; wystarczy dwuch ludzi, ten, który pisze i ten, który składa; to też na podstawie tego, co pisano w dwuch tygodnikach, nie można twierdzić, że ogół robotników polskich w Królestwie byłby się usunął od obchodów, gdyby się one odbywały.

W Krakowie i Lwowie socjaliści wzięli udział gremjalny w pochodzie. *Młot* twierdzi, że w Galicji, z wyjątkiem Lwowa i Krakowa „organizacje socjalistyczne prawie nie istnieją". Prawdopodobnie i tym razem dla zwyczaju skłamał, niepodobna jednak na to się zgodzić, aby to, co w Nr. 4-ym „prawie nie istnieje", miało być w 6-ym w razie potrzeby olbrzymią większością. W Ameryce pono „odłam socjalistów polskich międzynarodowych uzbroił się przeciw obchodowi".

Odłam nie jest większością; jest też znacznie więcej międzynarodowym, niż polskim, boć i tam, jak w kraju, występuje on tylko pod polskim pseudonimem, prowadząc pod podrabianą firmą zawsze ten sam szwindel polityczny: Szlachta jerozolimska, obwołująca pogrzeb Polski!! Samodzielna partja robotnicza polska w zaborze pruskim „prawie nie istnieje"; na to nie pozwoli pani Roza, a że niemiecka nie dała polskim towarzyszom hasła do święcenia Grunwaldu, o tym nikt nie wątpił.

Dosyć tego. Jest to zmudne i nie apetyczne zadanie walczyć z *wrogiem*, o którego istnieniu wiemy stąd tylko, że gryzie. Wytaczać argumenty, to tyle, co sięgać po armatę tam, gdzie na dobrą sprawę perski proszek wystarczyć powinien. Ten przykry obowiązek jednak spełnić trzeba w obronie klasy robotniczej i „ogólno-ludzkiej cywilizacji". Robotnicy sami zrozumieją, że ubliżają im przedstawiciele, którzy co najwyżej lumpen-proletarjat reprezentować są godni, a i temu nieosobliwą wyrządzają usługę, gdy zamiast go z karczmy wyciągać, zakładają mu w prasie szynkownię, — nie więcej zaś wykazali kwalifikacji do roli trybunów ludu, niż Mańka Kalosz — jubilatka aresztu policyjnego — do nazwy „politycznej" na tej zasadzie, „że i ona raz rewirowemu brodę oberwała."

I. Moszczeńska.

NA DOBIE.

„Zaranie" w świetle „Zorzy".

Naganka na *Zaranie* i ludowców staje się wprost publicznym skandalem.

Ci sami reakcyjni publicyści, którzy rozdzierają szaty nad kopaniem przepaści między chatą a dworem i plebanją, nad budzeniem nieufności w chłopach i podkopywaniem w ich oczach wszelkiej powagi, ośmieszają się brutalnym, ostrym, napastliwym lub chytrym egzekwowaniem należnych sobie ze strony młodszej braci sentymentów szacunku i ufności.

Jak ów kurfürst pruski, co pono z kijem gonił swych dworzan i wołał za nimi „Macie mnie kochać!" tak endecko-klerykalna inteligiencja, zwalczając *Zaranie* za to, że sieje ziarno nienawiści „względem własnych braci z ludu, którzy inaczej żyją i na świat patrzą", sama zapewno, jako posiew miłości, rzuca na to pismo i jego redaktora z palca wyssane insynuacje.

Lud to czyta — słyszy, ma możność sprawdzenia fałszów i po tem wszystkim ma zachować szacunek i zaufanie dla starszych braci!!!

Czyż ktokolwiek może gorzej poniżyć i oczernić owych panów przed ludem, niż oni sami siebie przez swe nizkie zabiegi o utrzymanie nad nim władzy i wpływu na drodze fałszu, intrygi i podstępu?

Zapominają oni, że niczyjego szacunku i ufności nie można ani wykrzyczeć, ani pięścią wymusić, że trzeba go się zwolna skrupulatną uczciwością i szczerą ofiarną pracą dorabiać, w pierwszym rzędzie zaś szanować siebie — jeśli chcemy by nas szanowano.

Czyż może dziś jeszcze rościć prawo do szacunku i zaufania swych czytelników pan M. Brzeziński, który nie zawahał się skompromitować swą długoletnią użyteczną i powszechnie cenioną działalność artykułem, drukowanym w Nr. 35 *Zorzy*, a zawierającym brutalną i ohydną napaść na redaktora *Zarania*, nietylko niczem nieuzasadnioną, ale całkiem naiwnie — czy cynicznie—stwierdzającą swą bezzasadność.

Wprost osłupieć można ze zdumienia, jak człowiek o umyśle przytomnym i normalnym mógł tak się zapamiętać i tak się ubiczować publicznie bizunem wymierzonym w „inaczej na świat patrzącego" brata.

Toż pan Brzeziński wyraźnie wyznaje, że ci, co mu informacji o *Zaraniu* udzielali, wcale *tego pisma nie czytają*, że on sam również *nie czytał* i nie sprawdził plotek, które mu o nim znosili ludzie notorycznie nieświadomi rzeczy i tę nieświadomość szczerze wyznający. Mimo to ośmiela się na takim fikcyjnym fundamencie opierać zarzuty i to nie byle jakie.

Wyraża przekonanie, że p. Malinowski czerpie natchnienie do swych prac z poznanych ongi w seminarjum nauczycielskim pism, jak *Sielskaja Biesieda*, *Do braci Polaków* i t. p., zestawia *Zaranie* z *Przyjacielem Ludu* na Mazurach, jego redaktora z Puryszkiewiczem... Tylko tyle!

Jeżeli pan Brzeziński spojrzał w lustro po napisaniu tego artykułu, musiał się oblać szkarłatem wstydu, o ile nie pozieleniał z przerażenia, widząc, że chwyta go jakiś obłęd, i nasuwa na myśl i na pióro zamiast, jak ongi, materjałów do nauki o rzeczach — „rzeczy od rzeczy".

Nie czytając *Zarania*, w rozmowie z takimi, co go również nie czytali, dochodzi pan B. do wniosku, że pismo to „plwa na historję Polski" — a jego czytelnicy „plują na Grunwald".

Zobaczmy, jak wygląda to *plwanie* i *plucie*:

Hejże zwycięztwo! Na Grunwaldu pola
leci głos trąbki z Marjackiej wieży
Sił swych próbuje drużyna Sokola...
do grobu króla, wieśniaczy lud bieży!
I dzwonów granie i hejnałów pienia
i płacz radości i promienie słońca...
wszystko to jakieś przedziwne marzenia...
W sercach się rodzi Polska powstająca!...

Wacław Koralewicz.

Zaranie Nr 29. str. 579.

W tymże samym numerze na str. 580 czytamy:

„Gdy Jagiełło spostrzegł w czasie walki grunwaldzkiej, jak jedna z chorągwi chwieje się i pada, to zawołał: „Stać murem, nie dać się ruszyć".

„To hasło nasze: „Stać murem, nie dać się ruszyć ani z ziemi, ani z chałupy, ani z mowy, ani z czegokolwiek, co nam po ojcach puścizną świętą zostało.

„Stać murem, nie dać się ruszyć!"

W numerze 30 czytamy na str. 599:

„Ożywcza moc obchodu biła nietylko ze wspomnień o dzielności tych, co na pięć wieków przed nami

życie dawali w obronie Ojczyzny, ale i z tego właśnie gromadnego zespolenia blizkich, choć rozproszonych, bo kiedy

> Człowiek po gromadzie spojrzy w taki czas,
> to na sercu rękę kładzie: Jeszcze siła nas!..

To pisze redakcja; — a oto, co piszą ci, „którzy czytają *Zaranie*:

„Dla nas — dzieci ludu, jak i dla wszystkich Polaków, rocznica ta jest radosną, bo święcimy pogrom złego, pogrom wroga polskości i wszystkiego, co w tych stronach żyło. Gdyby nie ten pogrom Krzyżaków, Niemcy pewno byliby już panami całego kraju naszego i Litwy i kto wie, czyby dziś nad Wisłą rozbrzmiewała mowa polska".

Zdanie to znaleźć można w 31 numerze *Zarania* na str. 615, w artykule, w którym Jan Cianciara wzywa braci włościan, by dla uczczenia rocznicy grunwaldzkiej składali pieniądze na szkoły ludowe, i sam przysyła na ten cel 15 rubli.

Widzimy więc, że „zdeprawowani przez *Zaranie* czytelnicy „plują" na grunwaldzkie święto pieniędzmi na oświatę i wychowanie dzieci."

Kto miał jakie wątpliwości, ile jest prawdy w zarzutach p. Brzezińskiego, tego chyba powyższe cytaty przekonają, choć naturalnie przeminą bez wywarcia wrażenia na samego redaktora *Zorzy*. Ten bowiem już pisząc nie miał złudzeń co do swej prawdomówności i dlatego nie potrzebował brać do ręki *Zarania*, aby o *Zaraniu* pisać.

Czując, że niejedno w jego artykule jest nietylko nieprawdziwe, ale także i nieprawdopodobne, ratując opinją swego umysłu choćby kosztem opinji swego charakteru, nadmienia: „wątpię nawet, czy pan M. aż takie brednie o Grunwaldzie popisał". Jednakże „brednie" te przytacza i z góry wie, że *jakieś*, choć może nie *takie*, być musiały, bo tak z roli wypada,—bo to w *Zaraniu* dla dobra *Zorzy* potrzebne. Gdyby tak przyszło sprawdzać wszystko, co się pisze, może okazałoby się, że przypisywane Malinowskiemu grzechy przeciw historji Polski popełnili Długosz, Bobrzyński, Caro, Morawski, Koneczny, Kochanowski, Komornicki i inni, *wypluwający* „na przeszłość naszą" całe tomy.

Gdyby p. Brzeziński nie był swego artykułu podpisał, nawet jego przeciwnicy polityczni broniliby go przed niecnym podejrzeniem, że człowiek tak zasłużony mógł się tak poniżyć. Pan Malinowski powinien mu odpowiedzieć słowami Zaratustry:

„Daruję ci, że mnie to uczyniłeś, ale nigdy ci nie daruję, żeś to sobie uczynił".

M.

Trzeba się zdecydować.

W miarę, jak ustaje dech czynnego życia w kościele rzymskim, kancelarje i tłocznie Watykanu gorączkową rozwijają działalność. Świeżo wyszły stamtąd dwa nowe ukazy: papieskie *motu proprio* i dekret kardynałów o usuwalności proboszczów.

Motu proprio sroży się przeciw modernizmowi, który to zgubny kierunek, nie bacząc na wyklinania i groźby, na srogi rygor i wzmożoną stokrotnie czujność duchownych cerberów — czyni trwożące postępy wśród tej części młodzieży w seminarjach, co jeszcze nie zrezygnowała z ideału na rzecz martwej rutyny i karjery czysto materjalnej, a nie mogąc dążeń swych i uczuć ujawniać legalnie, czyni to pod osłoną związków tajnych.

Wobec tego zjawiska, które bądź co bądź świadczy o pewnej żywotności ducha nawet na tych posępnych nizinach, gdzie ducha postokroć wyklęto i sponiewierano — centralny urząd papieski zdobył się na to, na co zwykle w takich warunkach umieją zdobyć się rządy nawskroś przegniłe i bankrutujące: nakazał biskupom dozór jeszcze ściślejszy, rygor jeszcze surowszy, nieczułość bardziej głuchą, nieświadomość bardziej zupełną. „Papież — komentuje poważnie *Osservatore Romano* — poleca ukrócić wśród młodzieży duchownej pragnienie wiedzy; aby zaś młodzież nie traciła próżno czasu i nie przeoczała głównego przedmiotu swych studjów — zabrania bezwzględnie lektury wszelkich gazet i wydawnictw perjodycznych, choćby w najlepszym duchu prowadzonych".

Oczywiście, trudno mieć za złe głowie kościoła, jeśli pragnie rządzić w nim według swych upodobań, urabiać młodzież duchowną na własną modłę, zabijać w niej myśl i ducha; ale, niestety, księża są nietylko poddanymi papieża, nietylko przysięgłymi oficjantami kościoła rzymskiego; — pełnią nadto w Polsce, ogołoconej z kultury narodowej świeckiej, funkcje bliżej nas obchodzące, które na Zachodzie już dawno do nich nie należą: funkcje *wyłącznych mentorów* i *oświecicieli ludu*...

Nasuwa się tedy pytanie: co pocznie społeczeństwo polskie wobec kasty z zewnątrz inspirowanej, umyślnie i wyraźnie wdrażanej do walki z kulturą, oświatą i wiedzą, kasty, którą się u nas obdarza dotąd zaufaniem i mandatem posłannictwa właśnie na polu kultury i oświaty? Co nastąpi, jeśli nadal duch i myśl szerokich mas ludowych wpędzać się będzie pod zatęchły dach plebanji, wyspecjalizowanej w walce ze współczesnym światem? Bez wahania odrzec należy: staniemy się wówczas narodem parjasów, najbardziej na całym świecie myślowo upośledzonych — i najnieszczęśliwszych ..

Trzeba się zdecydować. Dalecy jesteśmy od krzywdzących i ryczałtowych potępień; wbrew pewnym krańcowym poglądom nie sądzimy bynajmniej, by każdy ksiądz był świadomym niegodziwcem; nie! Ale radzimy zastanowić się poważnie nad alternatywą, jaką stawia oto przed narodem polskim papież Pius X: z Rzymem przeciw cywilizacji — czy też z cywilizacją przeciw Rzymowi? Oto pytanie.

Pour le roi de Prusse.

Współrzędnie z tą kwestją nasuwa się inne niemniej drażniące zagadnienie: co począć wobec dekretu o usuwalności proboszczów, który jest w chwili obecnej przedmiotem ożywionej polemiki w całej prasie europejskiej i nawet w kołach duchowieństwa budzi podobno różne wątpliwości.

Dekretów z d. 31 sierpnia zdaje kler niższy na łaskę i nie łaskę biskupów, co jest niejako logiczną podstawą całej nawskroś monarchicznej budowy rzymskiego kościoła, gdzie autorytet nieomylny i wyłączny mieści się u szczytu i spływa ku dołowi po kondygnacjach zwartej hierarchji. Dekret daje biskupowi do ręki dziewięć powodów do usunięcia proboszcza, który widokom jego nie odpowiada; między innymi, powodem wystarczającym jest „brak doświadbzenia i wiadomości potrzebnych do spełniania funkcji duchownej" oraz „niechęć parafjan, nawet gdy nie jest powszechną, nawet gdy jest nieuzasadnioną i niezasłużoną" (*sic*) Gdyby o tym decydowało zebranie ogólne parafjan sposobem równego głosowania — możnaby dekret powitać przychylnie; byłby to jednak akt gwałtownej, rewolucyjnej *demokratyzacji* kościoła, co się nawet pomyśleć ani przypuścić nie da. To też decydować ma biskup, wyłącznie biskup — no i ci, co umieją trafić do pałaców biskupich, tudzież tacy, do których biskup trafia z niemniejszą łatwością.

I otóż tu otwiera się pole do tysiącznych intryg i niebezpiecznych dla narodu naszego wpływów. Rzecz prosta, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby usunięto pewnych pasterzy — imiona ich są znane — co wzbudzili ku sobie uzasadnioną i słuszną niechęć nietylko wśród parafjan, ale w całym kraju.

Nie jesteśmy jednak tak naiwni, aby podobne życzenie formułować: ci bowiem słudzy kościoła zostaną na swoich miejscach, natomiast dekret całym ciężarem groźnych skutków spaść może na głowy tych nielicznych kapłanów, co szczerym duchem polskim i cnotą obywatelską mieli nieszczęście narazić się pewnym miarodajnym czynnikom, które łatwo do biskupich pałaców trafiać zwykły.

Weźmy np. Wielkopolskę. Tam księża Polacy i patrjoci znajdą się rychło na łasce i niełasce władz wyższych djecezalnych, do cna zniemczonych, zwłaszcza, że obecność pewnej liczby katolików-Niemców w parafiach poznańskich dostarczyć może pożądanego pretekstu „niechęci pewnej części parafian do proboszcza" skoro tylko kardynał Kopp uzna, że ta „niechęć zakłóca stosunki w parafii".

Można zatem przewidzieć zawczasu, że nowy dekret w rękach pruskich stać się może istnym obuchem, który miażdżyć zacznie resztki polskiego ducha wśród kleru, nie budząc z tej strony żadnego czynnego odporu wskutek wspomnianej właściwości hierarchii kościelnej i braku odpowiednich do tej walki warunków.

BADANIA NAUKOWE.

Jezus a historycy.

Redakcja *Prawdy* zażądała odemnie autureferatu o książce „*Gott Jesus* im Lichte fremder und eigener Forschungen, samt Darstellung der evangelischen Astralstoffe, Astralszenen und Astralsysteme" (*Bóg Jezus* w świetle badań cudzych i własnych, wraz z przedstawieniem zawartych w ewangieljach pierwiastków, scen i systematów astralnych. Monachjum 1910, str. VII, 577 A. & R. Huber's Verlag [1]). Ponieważ jednak każda książka naukowa jest tylko szczeblem w drabinie badań, przeto nasunęło się pytanie, czy obszar tych badań tak specjalnych jest u nas choćby w zarysie znany, i czy dając jedynie autoreferat, nie sprawiłbym, iżby czytelnik — jeżeli wolno mi się dalej obrazowo wyrazić — ujrzał w mej książce nie szczebel całej drabiny, ale kawałek drzewa, wiszący w powietrzu, na niczym nie oparty i z niczym nie związany. Wątpliwości tej nie opierałem na subjektywnym odczuciu sytuacji, ale na jej rzeczowych sprawdzianach, skoro badania naukowe z tej dziedziny przez organ tego nawet typu, co krakowska „Krytyka", zaliczone zostały do „ateizmu wojującego" i upodobnione z „anarchizmem socjalnym" (maj 1910, str. 299), czyli potraktowane tak, jak przed ćwierćwiekiem ewolucjonizm, a przed czterema wiekami kopernikanizm. Bardziej tedy niż o jakiś autoreferat, chodzi mi w Polsce o losy i cześć tej gałęzi wiedzy ludzkiej, której narodziny, wzrost i rozkwit opierają się na odcyfrowaniu hieroglifów egipskich i klinów babilońskich, na kosztujących krocie europejskie i miljony amerykańskie ekspedycjach na ziemie Starożytnego Wschodu, i o której przecież profesor wszechnicy berlinskiej Fryderyk Delitzsch powiedział, że „gdy ogólna suma jej poznania wydostanie się za progi gabinetów uczonych, gdy wleje się potokiem do wielkiej rzeki życia, do kościołów i szkół, wtedy życie ludzi i ludów dozna głębszego wstrząśnienia i uczyni potężniejszy krok naprzód w postępowym rozwoju, niż wskutek najkardynalniejszych odkryć z dziedziny nauk przyrodniczych" (Babilon i Biblja, str. 6). Że słowa powyższe sławnego asyrjologa, wygłoszone dnia 13 stycznia 1902 roku w berlińskiej Akademji Śpiewaczej w obecności cesarza Niemiec oraz najwyższych sfer naukowych i towarzyskich, nie zostały rzucone na wiatr, dowodzi nietylko olbrzymia literatura przedmiotu, naukowa i popularna, ale rozgłośne „wieczory dyskusyjne" ubiegłego sezonu zimowego, które poruszyły całe Niemcy, a z których największe wrażenie wywarła wielka dyskusja berlińska z 31 stycznia i 1 lutego (porów. Berliner Religionsgesprach: Hat Jesus gelebt?). Winniśmy uprzytomnić sobie jedną z uchwał zeszłorocznego kongresu historyków niemieckich, która miała raczej charakter dumnej demonstracji świata naukowego przeciwko wtóremu Syllabusowi, bo rzecz sama dawno już była przesądzona: historycy orzekli, iż święte księgi chrześcijaństwa należą bezspornie do obszaru ich badań. Ta więc gałąź wiedzy ludzkiej wypuściła z siebie listek pytania, czy Jezus jako człowiek historyczny istniał, czy nie istniał. Spór naukowy na ten temat trwa już 119 lat, lecz w czasach ostatnich znacznie się ożywił, wskutek nagromadzenia się nowych materjałów do przedyskutowania. Za zgodą tedy Redakcji *Prawdy* stanęło na tym, że nim przystąpię do autoreferatu, nakreślę pierwej, bodaj w zarysach ogólnych, historję zagadnienia.

Należy jednak uprzednio nad tym się jeszcze zastanowić, czy samo zagadnienie, jako takie, ma podstawę naukową. Są bowiem ludzie, którzy, mieszając wiarę z wiedzą, pytanie takie *a limine* odrzucają. Ludzie ci nie spostrzegli, iż z niektórych faktów historycznych zrobiono artykuły wiary, gdy przecież w fakty historyczne niepotrzeba wierzyć, lecz wystarcza o nich wiedzieć. Takim np. artykułem wiary jest fakt historyczny „umęczony pod Pontskim Piłatem". Każde twierdzenie wywołuje zazwyczaj przeciwtwierdzenie; ktoś tedy za owych czasów innego musiał być zdania; gdyby zwolennicy tego dogmatu posiadali jakiś dokument historyczny, dostatecznie poważny, nie potrzebowaliby się uciekać do kucia z mozołem aż artykułu wiary i forsowania go na soborze za pomocą głosowania, a także nie potrzebowaliby następnie piętnować przeciwnika mianem „odstępcy", skoro wystarczałby mu w zupełności tytuł „nieuka". Artykuł wiary wyklucza wszelki sceptycyzm i uznaje go za grzech. Nauka nie godzi się z taką metodą; ona zaleca sceptycyzm wszędzie i zawsze. Niema teorji absolutnie pewnych, a wartość każdej mierzy się tylko naukową jej użytecznością. Dla uczonego jest rzeczą obojętną, czy w ostatecznym rezultacie badań Jezus będzie postacią historyczną, czy nie będzie. Do dnia dzisiejszego obowiązuje nas bezwarunkowo zdanie Kanta, że „jest to wielką niedorzecznością oczekiwać oświecenia od rozumu, a przepisywać mu z góry, po której stronie owo oświecenie koniecznie paść powinno" (Krytyka czystego rozumu, str. 602). W sprawie historyczności lub niehistoryczności postaci Jezusa dla uczonego powinno istnieć tylko jedno principium: z jaką hipotezą pracując, jakie osiągam rezultaty? Całokształt doświadczeń wiedzy ludzkiej do takiego jedynie uprawnia nas stawienia kwestji. Fakt musi wytrzymać wszystkie próby swej faktyczności. Nikomu nie możemy zabronić szukania nawet dowodu na to, że świat istnieje. Kogo tedy oburza samo przypuszczenie, że Jezus jako człowiek mógłby nie istnieć, ten popełnia tak zwany aprioryzm, przyjmuje takie a takie zdanie z góry za absolutnie pewne, operuje artykułem wiary a nie artykułem wiedzy, przenosi przytym bardzo znamiennie spór z gruntu wiedzowego na grunt etyczny — a tu już od jego potęgi będzie zależało, czy przeciwnika odsądzi tylko od czci i wiary, czy też od praw obywatelskich a nawet od... życia.

Człowieka nauki nie interesuje twierdzenie, jako takie, ale materjał do tego twierdzenia zebrany i naukowo rozpatrzony. Przeto badacza także nie to powinno

[1]) Wydanie niemieckie w porównaniu z polskim zostało rozszerzone o pięć nowych rozdziałów, tudzież o 44 rysunki zwiększyła się liczba ilustracji. (*Przyp. Red.*).

głównie obchodzić, czy Jezus jako człowiek istniał, lub nie istniał, ale jakim materjałem rozporządzają obie hipotezy.

I.

U nas dotąd ogół inteligientny patrzy na całe zagadnienie oczami Ernesta Renana, którego przepiękny poemat naukowy „Vie de Jésus" został swego czasu zawleczony do Polski na fali beletrystyki francuskiej i był czytany, jak utwór beletrystyczny. Utwór ten ma potężne znaczenie pedagogiczne; wartość jego naukowa dawno minęła. U nas wogóle nie wiedziano, że stanowisko naukowe Renana nie na tym dziele się opierało; temu dziełu zawdzięczał znakomity badacz tylko znakomity rozgłos. Ponieważ Renana każdy z nas przeżyć musiał, przeto jego „Żywot Jezusa" sam przetłumaczyłem na język polski i roku 1904 wprowadziłem do Galicji, a roku 1907 do Królestwa. Ale mało kto wie, że naukowo „renanizm" dziś leży w gruzach. Niechaj jednak nikt nie mniema, iż konstrukcje Renana w „Żywocie Jezusa" zostały obalone przez przedstawicieli twierdzenia niehistoryczności postaci Jezusa. Przeciwnie, obalili je ci, którzy w zasadzie godzą się na historyczność tej postaci. Salomon Reinach, mówiąc o fantazjach Renana, tak się wyraża: „Historji prawdziwej nie robi się z mitów, jak nie wypieka się chleba z pyłku kwiatowego" (Orpheus, wydanie 5-te, str. 332). Prócz Renana, obowiązują u nas jeszcze — ale już tylko jako legienda—opinje Dawida Fryderyka Straussa, gdyż ciężkie jego dzieło podstawowe „Das Leben Jesu", które pojawiło się po raz pierwszy przed 75 laty, nie zostało przetłumaczone, a do oryginału niewielu zaglądało, zwłaszcza wobec słabo u nas rozwiniętej znajomości języka niemieckiego. Strauss przyjmował historyczność Jezusa, mniemał tylko, że na tle jego rzeczywistego żywota rozpleniły się bujnie całe cykle mitów. Tymczasem S. H. Chamberlain w swych „Grundlagen des XIX-ten Jahrhunderts", również nie kwestjonując historyczności Jezusa, słusznie całkiem pisał, że Strauss pojęcia nie miał, co to jest... mit (wyd. VIII, t. 1, str. 227, uwaga 1). Rudolf Seydel w „Die Buddha-Legende und das Leben Jesu" (wyd. 2-gie, str. 4) twierdzi, że mitologiczne stanowisko Straussa „nigdy nie uchodziło za szczęśliwe a obecnie utraciło wszelką powagę". Obaj tedy jedynie u nas właściwie jako tako znani badacze danego zagadnienia, Renan i Strauss, byli tylko szczeblami w długiej drabinie i nauka wcale na nich się nie kończy. Ale co więcej, wcale się też od nich nia zaczęła, jak się to u nas mylnie mniema.

Kto chce w krótkości zapoznać się z wszystkimi główniejszymi szczeblami owej drabiny, ten ma do dyspozycji treściwy referat Firmina Nicolardot „La resurrection de Jésus et la critique depuis Reimarus", pomieszczony w paryskiej „Revue de l'histoire des religions" (maj - czerwiec 1909). Dotyczy to wprawdzie głównie krytyki ewangielji w zakresie opowieści o zmartwychwstaniu Jezusa, ale daje nić przewodnią do poznania wogóle krytyków przedmiotu. Nicolardot dla pierwszego szczebla ustanawia datę 1777 roku. Jest to data publikacji studjów Reimarusa z teki pośmiertnej. Reimarus, zestawiając ewangielje i wykazując w nich sprzeczności, postrzega, że cała opowieść o zmartwychwstaniu Jezusa jest legiendą; ale ponieważ za jego czasów religja nie uchodziła jeszcze za zwykłe zjawisko dziejowe, oparte na psychologji ludzkiej, ale za wymysł i oszustwo kapłanów, przeto doszedł do wniosku, że legiendę o zmartwychwstaniu mistrza owego mistrza uczniowie poprostu skomponowali. Po Reimarusie idzie długi szereg badaczów, jak Lessing, Paulus, Herder, Semler, Eberhard, Kaiser, Wegschneider, Schleiermacher, Holstein, Keim, Ewald i wielu innych, a śród nich naturalnie Strauss i Renan. Jedni twierdzą, że zmartwychwstanie jest przypowieścią moralną, inni mniemają, że Jezusa po zdjęciu z krzyża ocucono, jeszcze inni, że epizod o zmartwychwstaniu jest późniejszym dodatkiem, inni wreszcie, że widywanie Jezusa po śmierci przez uczniów należy tłumaczyć jednostkowymi i zbiorowymi halucynacjami jego czcicieli. Przez długi okres wre praca nad wygotowaniem „prawdziwego" żywota Jezusa. Strauss chce z ewangielji wykluczyć wszelką cudowność i dotrzeć do zdarzeń „naturalnych". Jak dzięki tej metodzie obchodzono się z tekstami, naginając je do swych potrzeb, świadczy wymownie sam Strauss; gdy ewangielje wyraźnie mówią, że Jezus narodził się w Betleem, Strauss dowodzi (a ludzie mu wierzą), że narodził się w Nazaret, bo... tak długa wędrówka kobiety „w stanie brzemiennym" wydała mu się wprost nieprawdopodobną! Renan poparł jego twierdzenie, aczkolwiek prócz wyraźnego brzmienia ewangielji, inna jeszcze piętrzyła się trudność: nauka nie posiada na to dowodu, by wtedy miasto Nazaret już istniało! Śród różnych wykazów miast palestyńskich takiego wcale nie znajdujemy. Gorzej jeszcze przedstawiała się kwestja z rzekomo gieograficznym określeniem „Nazarejczyk" wobec niezaprzeczonego faktu istnienia sekty Nazarejczyków i to przedchrześcijańskiej. Litery na krzyżu I. N. R. I., mające znaczyć „Jesus Nasarensis Rex Judaeorum", Malvert wykłada jako starą formułę „Inde Natura Renovatur Integra". Gdy tedy następcy Straussa w dalszym ciągu byli zdania, że rzeczywistość została przysłonięta welonami podaniowymi, które trzeba było usuwać, sami z wielkim mozołem ową rzeczywistość swoimi spekulacjami gęściej jeszcze spowijali. Burza, która zrazu zwróciła się przeciwko Straussowi, niebawem zmieniła kierunek i zwraca się przeciw każdemu, kto za Straussem nie szedł. Wszelako studjum porównawcze religji coraz wyraźniej ujawniało fakt, iż bodaj żadne zdarzenie z tak zwanego żywota Jezusa nie jest oryginalne, ale wszystkie są schematyczne; to samo mutatis mutandis działo się z Adonisem, Attisem, Ozyrysem, Mithrą, Dyonizosem i t. d. Powstaje tedy teorja, że tradycja w pewien sposób wymagalny wymodelowała życie Jezusa. Ale rozpatrywanie „Słów Pana" inną ukazało trudność: oto słowa te można odnaleźć w Starym Testamencie, u Hillela, u Jezusa Syracha, u różnych mędrców greckich. Zwolennicy historyczności Jezusa i tu okazali zdolność do nadzwyczajnych ustępstw; godzili się na to, że i pod względem „słów" tradycja modelowała w pewien wymagalny sposób Jezusa. Broniąc historyczności tej postaci w imię jej „niezwykłej indywidualności", równocześnie godzili się na odzieranie jej z wszelkiej właśnie indywidualności, a Pfleiderer ukuł nawet tezę, iż należy odróżniać Jezusa „wiary" od Jezusa „historji". Cóż jednak z owej „historji" miało tedy pozostać? Smith, badając Dzieje Apostolskie, wykazał dowodnie, że w latach 40 — 50 pierwszego wieku naszej ery pierwszorzędni propagatorzy „tego, co się tknie Jezusa" (ta peri tu Jesu) nie znali nic więcej nad „chrzest Janowy". Autorowie starożytni pogańskich wspominają Jezusów (np. Lucanus zna bożka imieniem Esus, p. „Pharsalia" I, 446). Mesjanizm okazuje się starą ideą żydowską (Marcus Rabinsohn, Le Messianisme dans le Talmud et Midraschim). Wypływają teksty, o których na pewno wiemy, że są przedchrześcijańskie; a jednak zawierają pojęcia, które pojawiają się dopiero później w ewangieljach w grze faktów z życia Jezusa. W takim razie teksty owe muszą być chrześcijańskie, woła Harnack (Ein juedisch-christliches Psalmbuch). List kanoniczny Judy głosi, że Jezus wybawił lud żydowski z ziemi egipskiej. W takim razie tekst ten nie jest autentyczny, woła Hühn (Hilfsbuch zum Verstaendnis der Bibel). W Apokalipsie „liczba człowieka 666" ma wedle Gunkla znaczyć: Chaos der Urzeit! Ale chaos nie jest „człowiekiem". W takim razie w tekście jest źle „liczba człowieka" i powinno być tylko „liczba", woła Gunkel (Schoepfung und Chaos). Gdy na wieczorach dyskusyjnych powstaje opozycja przeciwko takim „metodom" i gdy przypomina badania

W. B. Smitha, Gunkel z pogardą woła: „To profesor matematyki!” A Soden w czasie takiej samej dyskusji używa jako argumentu imieniem swoim i swoich kolegów, że przecież oni są „Gelehrten vom Fach”... Taki „klimat naukowy” musiał poważne budzić wątpliwości. Nie o to chodziło, że np. Harnack w pracy „Lukas der Arzt” wypisywał „słówka” z różnych autorów Nowego Testamentu i na tak niepewnej podstawie odnajdywał „ściśle trzy czwarte tekstu Marka u Łukasza” i że „plagiatora” ze str. 61 mimo to „niezrównanym mistrzem” robi na str. 151. Daleko bardziej podejrzanym był ów ton kaznodziejski tych „Gelehrten vom Fach”, piętnujących wszystkich przeciwników jako „dyletantów” i „niepowołanych”. Tenże Harnack w siódmym odczycie swego „Wesen des Christentums” do takiej doszedł frazeologji: „Ufność, z którą wedle Jana Jezus mówi do Ojca: „Kochałeś mnie, nim świat został ugruntowany”, z pewnością została podsłuchana u własnego przeświadczenia Jezusa. Tu wszelkie badanie winno się zatrzymać” (Hier hat jede Forschung stille zu halten)...

Dosyć.

A teraz zastanówmy się nad tem, jak wygląda wspólna zasada tych wszystkich „Gelehrten vom Fach” od Reimarusa przez Straussa i Renana do Harnacka? Zasada ta brzmi: Jezus nie był Bogiem, ale człowiekiem. Jeżeli jednak o taką zasadę chodzi i taką, jak powyższa, argumentację, to ową drabinę możemy śmiało od Reimarusa wydłużyć wstecz. My Polacy sięgnąć możemy do naszych zacnych „jednobożan”, jeszcze dalej, do ośmdziesięcioletniej matrony krakowskiej Katarzyny z Zalasowskich Wajglowej, spalonej przez biskupa Gamrata w Krakowie 1539 roku, do jej świetnej dysputy, stoczonej z kanonikami, a wreszcie do całego humanizmu. Tak, humanizm, wziąwszy ewangielje do ręki i wychodząc z zasady, że Bóg jest jeden, zaczął Jezusa transponować z Boga na człowieka. Był to *wniosek* czysto racjonalistyczny. *Ponieważ* Bóg jest jeden, *przeto* bohater ewangielji *musiał* byś człowiekiem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten, jak powiadam, czysto racjonalistyczny wniosek trzyma się od naszej Wajglowej aż do niemieckiego Harnacka. Jest to lampa, przy której pracują wszyscy tacy badacze, jak Reimarus, Lessing, Strauss, Renan, Reville, Gunkel, Soden. Do tego wniosku nagina się treść ewangielji, usuwa się z nich wszelką „cudowność”, a pozostawia rzekomą i rzekomo doskonale rozpoznaną „naturalność”, z rozmaitych tekstów wyrzuca się niewygodne ustępy, jako „wstawki”, „fałszerstwa” i t. p. Nie jest to wniosek wysnuty ze źródeł, ale włożony w źródła. Do tego wniosku naginało się wszystko. Jeżeli Tacyt powiada, że Jezus został ukrzyżowany pod Pontskim Piłatem za Tyberjusza, kiedy Piłat (koniecznie ten Piłat!) mógł być prokuratorem Judei, a ojciec kościoła Ireneusz, że pod Pontskim Piłatem za Klaudjusza, kiedy Piłat nie mógł być już żadnym sposobem prokuratorem Judei, to Tacyt ma rację, a nie Ireneusz, bo wszystko można poświęcić, ale nie Piłata! Ten Piłat, który istotnie przysłowiowo „wpadł w Kredo”, jest bardzo zastanawiający. Jeżeli jeszcze uwzględnimy rozgłośną aż do humorystyki broszurę „Grundseulen des Lebens Jesu” (Filary żywota Jezusowego) a śród nich „filar” taki, że „nie mógł Jezus w Nazarecie uczynić żadnego cudu”, co świadczy o nim ujemnie, a ta „ujemność” jest najwyższym i najwspanialszym „dowodem” jego „człowieczeństwa” (przyczem zapomniano o skromnej eksplikacji: „dla ich „grzechów”, co właśnie owej „ujemności” przeczy), to przekonamy się, że materjał, na którym opierał się ten kierunek, nie mógł wystarczyć umysłom krytycznym. Obok tej przeto drabiny wyrosła w ciągu wieku całego drabina inna, której ważniejszym szczeblom musimy się z kolei przypatrzyć.

(d. n.). *Andrzej Niemojewski.*

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Ostatni (146) zeszyt *Myśli Niepodległej* zawiera na miejscu naczelnym artykuł p. t. *Demokratyzm*, będący głębokim i wytrawnym rzutem oka na gienezę prądów postępowych w naszym kraju, ich stopniowe przemiany, ich kryzysy chorobliwe, ich spaczenie pod wpływem czynników ujemnych, ich wreszcie obecną postać i przyszłą doniosłą rolę.

Artykuł kończy się następującym programowym wskazaniem:

> Polski DEMOKRATYZM, jak demokratyzm całego świata, musi dbać o swoją DOSTOJNOŚĆ. Musi on wszystkie warstwy społeczne prześcignąć kulturalnością, dzielnością umysłową i twórczością.
>
> Polski DEMOKRATYZM musi wyrobić w sobie POCZUCIE HISTORYCZNE, gdyż ma być dziedzicem najlepszych wartości, które przeszłość dziejowa stworzyła.]
>
> Polski DEMOKRATYZM wie, że na całym obszarze zjawisk niema faktu, zwanego TABULA RASA, że jest ciągłość rozwojowa i nieubłagane następstwo w aktach społecznej biogienozy.
>
> Polski DEMOKRATYZM jest dzidzicem demokracji szlacheckiej, demokracji mieszczańskiej i demokracji inteligienckiej. Musi on być miazgą demokracji ludowej i demokracji społecznej
>
> Polski DEMOKRATYZM musi złączyć we współdążeniach całą lewicę, jak pukiel włosów różnolitych, w jeden warkocz, uczesany, a nie rozczochrany.
>
> Polski DEMOKRATYZM musi wydalić z siebie wszystkie naloty oportunistyczne.
>
> Polski DEMOKRATYZM ma prowadzić naród nasz ku lepszej przyszłości.
>
> Obecnie otwiera się przed nim nowa doba pracy historycznej. Wszystkie obozy polityczne utraciły znaczenie, siłę i cel. W przyszłości muszą powstać całkiem inne, odpowiadające wymaganiom rzeczywistości. Polski DEMOKRATYZM ma umysły w tym kierunku wyrabiać.
>
> Nastaje już pod tym względem wyraźna orjentacja. Ludzie to rozumieją i wyciągają ku sobie ręce. Zamiast współzawodnictwa, postrzegamy w lewicy współdziałanie Znikają zadraśnięcia osobiste w imię zamierzeń ideowych Gniewa to naturalnie tych, którzy w mętnej wodzie przywykli rybki swoje łowić. Ale gniewy te już się na nic nie zdadzą.
>
> Polski DEMOKRATYZM znowu staje zwarty i znowu podejmuje swoje brzemię historyczne.

Podobnie mocny i pełny ton syntezy, w niewiele zdań ujętej, jest, niestety, rzadkością w naszych zespołach lewicowych, jakkolwiek doba obecna zdaje się sprzyjać metodzie syntetycznej w polityce, dotąd przeładowywanej aż do zbytku, aż do niesmaku orgją analitycznych dociekań i rozgraniczeń.

* Dekret papieski z d. 31 sierpnia wywołał w prasie polskiej szereg zdań i komentarzy, naogół zgodnych z naszym poglądem (por. *Na Dobie*). Nawet organy opinii zachowawczej nie tają tym razem obaw co do następstw, jakie dekret pociągnąć może, zwłaszcza na zachodnich kresach. Krakowski organ ludowców jest w tym względzie wyjątkiem; ale bo też przeocza on komplikacje zewnętrzne, nieuniknione w naszych warunkach, i ogranicza się na wewnętrznym ciasnym zakresie spraw parafialnych.

> Postanowienie — twierdzi „Gazeta Powszechna“ — sprężyście wykonane przez biskupów, odniesie z pewnością zbawienny skutek dla całego kościoła katolickiego, zarówno dla duchowieństwa, jak i dla ludu. Księża, pod groźbą utraty parafji, będą zmuszeni tak pracować i postępować wobec ludu, aby sobie zdobyli pełne zaufanie. A lud katolicki, mając ten środek ochronny do rozporządzenia, będzie śmielszy w odnoszeniu się do proboszczów, na-

wiąże z nimi lepsze, niż często dotychczas bywały, stosunki. Interes własny wskaże proboszczowi czego ma unikać, aby sobie nie zepsuć stosunku do parafjan. Powodem niesnasek bywały: zła administracja funduszów parafjalnych, brak względów na ubóstwo ludu, sprzeczne ze stanowiskiem ludu dążenia przy różnych wyborach, niewłaściwe traktowanie parafjan w postępowaniu i w mowach, mieszania się do nieswoich spraw. To wszystko powinno teraz uledz zmianie na lepsze. Muszą się o to postarać duchowni, ale to wyjdzie i im samym i całemu społeczeństwu katolickiemu na korzyść.

Na to trafnie *Kurjer Poranny* odpowiada:

Jest w tej ocenie rozbrajający optymizm a zarazem i pewność, że biskupi wpływów swoich politycznie i partyjnie wyzyskiwać nie będą. „Gazeta Powszechna" zdaje sobie sprawę i z odwrotnej strony medalu, ale pociesza się tym, że „łatwiej jest wyjaśnić i załatwić sprawę z jednym biskupem niż z setkami proboszczów, z każdym z osobna".

Ale organ galicyjskich ludowców ocenia skutki reformy tylko ze swojego partykularystycznego stanowiska. Szerzej i głębiej ujmują rzecz te dzienniki, które zwracają uwagę, że dekret łamie do reszty ostatnie szczątki samodzielności, jakie zostały jeszcze klerowi świeckiemu, i niewolniczo wprost poddaje go woli i rozkazom najwyższej władzy kościelnej. Dekret wywołany został walką kulturalną na półwyspie Pirenejskim, stosunkami we Francji i Włoszech. Skutki jego polityczne mogą być jednak nieprzewidziane. Dzienniki liberalne austryjackie rozpoczęły już kampanję za zerwaniem konkordatu z Rzymem, ponieważ dekret 31 sierpnia urzędników cywilnych, jakimi są proboszczowie, zamienia w „zupełnie bezbronnych agientów obcej potęgi".

W podobnym duchu wypowiada się *Nowa Reforma*, a *Słowo Polskie*, lwowski organ Dem. Narodowej, niepodejrzany żadną miarą o krytyczne wobec kleru stanowisko, wręcz powiada:

dla polskości w Prusach ten nowy dekret jest, a przynajmniej może stać się klęską z chwilą, kiedyby na tronie biskupim w Poznaniu zasiadł giermanizator, a wyda skutki fatalne z pewnością w djecezjach, na których czele stoją już biskupi niemieccy: we wrocławskiej, chełmińskiej i warmijskiej. A o tym dwu zdań być nie może, że usuwanie proboszczów polskich, ze względów politycznych, odbiłoby się potężnie na usposobieniach wiernego polskiego ludu, wyszłoby na szkodę może nie tyle polskości, ile Kościoła.

* *Gazeta Kujawska*, jedno z poważnych i dobrze prowadzonych pism postępowych na prowincji, kieruje *pod adresem prasy warszawskiej* szereg słusznych wyrzutów za krzywdzące traktowanie „młodszej braci", przyczym motyw źle rozumianej konkurencji zdaje się odgrywać rolę wybitną.

Czyżby ideja dobra publicznego oburzała się na prowincję za podjętą konkurencję w zdobywaniu prenumeratorów? Nie, prasa społeczna wie, a przynajmniej powinna wiedzieć, że pismo prowincjonalne dotrze tam, gdzie poważny organ warszawski nie sięga, że porusza ono kwestje, na które w pismach warszawskich niema miejsca, oraz, że zasilana artykułami przez ludzi, którzy piszą pod wrażeniem tego, co przeżywają, silniej wyrazi wszelkie bóle, potrzeby i zawody ludzi, skazanych na życie w zapadłych kątach. O tym, jak kraj żyje, co myśli, jakie prądy przenikają ogół ludności krajowej, prasa warszawska mogłaby się dowiedzieć, studjując pilnie prasę prowincjonalną.

Gdyby prasa warszawska należycie rozumiała swe zadanie i obowiązki względem kraju, dostrzegłaby łatwo swój błąd utożsamiania Warszawy z całym krajem, a warszawskich potentatów myśli — z myślą i wolą całego narodu. Wreszcie, ta sama prasa warszawska, która lekceważy prowincjonalną dla jej braków, mogłaby odegrać dużą rolę w jej rozwoju, przez zainteresowanie ogółu losami prowincji i przez pomoc, udzielaną prasie prowincjonalnej w postaci utworów i artykułów.

Nie dalej, jak w ost. numerze *Prawdy* (por. *Na Dobie*) położono nacisk należny na wagę zadań kulturalnych na prowincji, przyczym jednak, biorąc pod uwagę czujność i przeciwdziałanie sfer urzędowych, dla których martwota jest najlepszym polem do działań rusyfikacyjnych, uważaliśmy za konieczne *usprawiedliwić* „śpiącą prowincję" z zarzucanych jej nazbyt ochotnie przywar, będących często wytworem niezależnych od niej okoliczności...

Tym potężniej, tym rychlej należy pośpieszyć z pomocą. Toć istnienie na ziemi naszej całych połaci, objętych martwotą i śniedzią, stanowi rzetelną grozę dla kraju — i świętym obowiązkiem działaczy warszawskich jest czynny sukurs miejscom najwięcej upośledzonym, gdzie garść inteligientów boryka się rozpacznie z ciemnotą i apatją.

Mamy w stolicy pogotowie ratunkowe od nieszczęśliwych wypadków; wypada pomyśleć o *pogotowiu kulturalnym* z młodych i ochoczych sił, któreby biegły w zapadłe kąty kraju na każde wezwanie, aby ożywić, pobudzić, wskrzesić martwiejący puls życia.

KRONIKA.

„SPÓJNIA", Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Postępowej w Paryżu niniejszym zawiadamia, że tłumaczy papiery i załatwia wszelkie formalności przy wstępowaniu do wyższych zakładów naukowych we Francji. Świadectwo szkolne i metrykę, *zaświadczone przez konsula francuskiego w Warszawie* i 20 franków na koszta tłumaczenia należy oadsyłać na ręce kol. *Wacława Porczyńskiego* (Paris, V-e, 42, rue des Ecoles, 41).

Wszelkich informacji udzielamy w lokalu Stowarzyszenia (2, rue du Haut-Pavé, 2) we środy i soboty od g. 2 do 4 pp., oraz listownie zą nadesłaniem marki na odpowiedź.

PRZEDŁUŻENIE OCHRONY WZMOCNIONEJ. *Warszawskoje słowo* donosi, że z Petersburga otrzymano wiadomość o przedłużeniu na rok terminu działania ochrony woiskowej w gub. warszawskiej, piotrkowskiej, lubelskiej i siedleckiej.

DŁUG ROSJI. Dług państwowy w Rosji w dn. 14 stycznia 1911 r. wynosić będzie 9,038,000,000 rubli, to jest o 23 miljony rubli mniej, aniżeli w r. 1910. Na opłatę procentów od pożyczek minister skarbu na rok 1911 żąda 407,265,000 rubli.

ŚRODEK „TYMCZASOWY". Gienerał-gubernator warszawski, uznając za niezbędne zaprowadzić tytułem środka tymczasowego ścisłą rejestrację osób, zamieszkałych w niektórych miejscowościach kraju, wydał przepisy obowiązujące, aby właściciele majątków, zagród i domów w powiatach: błońskim, łowickim i skierniewickim, gub. warszawskiej, dalej w powiatach: brzezińskim i rawskim, oraz w Tomaszowie, gub. Piotrkowskiej, i wreszcie w pow. opoczyńskim gub. radomskiej donieśli niezwłocznie miejscowemu strażnikowi o przybyłych czasowo do miejscowości tych osobach.

NEKROLOGJA. W Warszawie zmarł młody i utalentowany powieściopisarz. Mieczysław Srokowski. Urodzony na Podolu galicyjskim w rodzinie ziemiańskiej, Srokowski po skończeniu zakładu oo. jezuitów w Chyrowie przeniósł się do Warszawy i tu rozpoczął zawód literacki drukowaniem drobnych utworów poetyckich, które, pomimo wybujałego erotyzmu, posiadały znamiona prawdziwego talentu. Srokowski zmarł w spitalu św. Ducha w wieku lat 35.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.